

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Gdańsku
Gabinet Instrukcyjno-Metodyczny

ID 39427

znik społeczno-komunalny w przera

FOT. Z. GRABOWIECKI





Fot. Stefan Kraszewski

ZAK

STRONA 16 - 17

TWARZ KOLEKTYWU

BOLESŁAW FAC

ZDJĘCIA: ZBIGNIEW BŁĄŻEWICZ

Dziś jesteśmy mądrzy, dziś wiemy, że wybór był trafny — niektórzy nawet są skłonni przypuszczać, że najtrafniejszy. Trudno w tej chwili powiedzieć, ile w tym było przypadku, ważny jest chyba wynik: to zadanie z wieloma niewiadomymi dało liczbę całkowitą ze znakiem dodatnim.

Ale wtedy, w te mroźne dni zimy stulecia, kiedy rozpoczęła się praca przy nabrzeżu wyposażeniowym nikt nie mógł odpowiedzieć na to pytanie — ani szef produkcji, ani jego zastępcy, ani inżynierowie Edmund Stachowiak czy Zbigniew Kempkiewicz z nadzoru technicznego, ani tym bardziej kierownictwo CBKO-1.

Cóż, każdy widział swoich ludzi w pierwszej linii działania, niektórzy zostali nawet „sprawdzeni już na deskach kreślarskich”, ale ciągle nikt nie wiedział, jaki będzie też ten kolektyw budujący przecież najtrudniejszy statek w historii polskiego przemysłu, statek o którym zapisano wiele szpalt i kolumn, a tygodnik przemysłu okrętowego poświecił nawet dwie kolumny, bogato ilustrowane. W praktycznym sensie, rzecz upraszczając nieco, w „prehistorii” tej budowy wiadano tylko jedno — tu nie będzie wielu mądrych...

Bo co prawda Stocznia Gdańska budowała już serię baz rybackich, ale gdzie im tam do m/s „Pionierski” (tak ochrzczono pierwszą jednostkę). Tamte właściwie służyły do transportu ryby z łowisk dalekomorskich, zaś te...

Baza rybacka. Duma i chluba przemysłu okrętowego, podziw i zazdrość wielu stoczni zagranicznych, „wstęp do wyższej szkoły jazdy” — do budowy pasażerów, statek o największym i najbardziej specjalistycznym wyposażeniu, jakie można spotkać na jakimkolwiek statku handlowym. No bo pomyślcie, co musi posiadać statek na swoim pokładzie, kiedy jego zdolność samodzielnego pływania ma wynosić około 2 miesięcy i jeśli ma bez zawiąania do portów przerobić ileś tam tysięcy ton ryby (przetwarzać ją na konserwy, filety, pasty czy mączkę, marynować czy solić), jak musi być zaopatrzony ten hotel wielkości przemysłowej osady, jeżeli równocześnie razem z rybą wchodzi na pokład ludzie, dla których ten statek jest kawałkiem ojczystego kraju, domem kultury i cywilizacją w większym stopniu jak ta, którą dysponują na własnej jednostce, przeważnie niewielkiej (tawlerzy). O sprawności technicznej, o walorach eksploatacyjnych naszej bazy rybackiej napiszą lub napisały już

obszerniej, pisma fachowe, ale naszemu czytelnikowi należy się też garść informacji. Z ciekawszych elementów wyposażenia należy wymienić szpital z salą operacyjną (na podobnej bazie dokonano na morzu operacji serca), hangar i lądowisko dla helikoptera, rentgen, gabinet dentystyczny, sala kinowa i teatralna, fabryka konserw, fabryka tranu, fabryka mączki rybnej, filetownia ryb, fabryka lodu, chłodnia „linia obróbki śledzia” (taśmowy proces obrabiania śledzia), zakład krawiecki, zakład fryzjerski, zakład szewski, magazyn pocztowy, laboratoria, mechaniczny warsztat naprawczy, no i dalsze pomieszczenia socjalne i mieszkalne dla ok. 250 osób liczącej załogi pływającej i obsługującej przetwórstwo rybne.

Oglądałem to rude, stalowe pudło, kiedy rozpychając wodę swoją zniekształconą jak nos kaszalota rufą, schodziło z trzaskaniem płóz z pochylni do wody. Nie ujmując nic z zastug kadłubowców, dla których wprowadzenie właściwych kształtów kadłuba też było nie lada gimnastyką (szczególnie wspomnianą już rufą „wielorybniczą” dla wciągania włoka z rybą bezpośrednio z wody), to jednak wszyscy w stoczni zdawali sobie sprawę, że prawdziwa „zabawa” dopiero się zaczyna. Przez kilka miesięcy kołysało się to duże pudło przycumowane do nabrzeża wyposażeniowego, z dnia na dzień zanurzając się pod ciężarem montowanych elementów: silnika, agregatów, kotłów, urządzeń, aparatury, fundamentów, izolacji, rurowciągów, przewodów, uchwytów, kabli, zaworów, pokryw, uszczeliek, wkrętów, śrub, podkładek itp. szczegółów. To pudło, duże i grzmiące uderzeniami metalowych narzędzi, szumiące sykiem palników, syczące nieszczelnymi zaworami węży sprężonego powietrza czy przewodów pary, to pudło stalowe, rude, z dnia na dzień ożywiało się pracą, myślą, wysiłkiem — angażowało coraz więcej czasu, często wolnego czasu — na książkę, na kino, czasu przeznaczonego dla rodziny...

Z godziny na godzinę powiększał się gąszcz rur i przewodów, zaciemniał się gąszcz spraw do załatwienia, węzłów do rozplątania, wątpliwości do wyjaśnienia, decyzji do powzięcia, stanowisk do uzgodnienia... W tym wszystkim zaplątani ludzie, zaplątani nie przypadkowo jak przechodzień bywa w wypadek uliczny, ale zaangażowani różnymi powołaniami i przesłankami, kierowani impulsem o różnym natężeniu, również i tym,

że przypadek pozwolił im współuczestniczyć w tworzeniu jednego z najstarszych wynalazków człowieka — kawałku materiału — drewna czy stali, które pływa i które unosi na sobie człowieka pozwalając mu dotrzeć do wielu oddalonych zakątków ziemi, gdzie tylko fale oplatają brzeg. Więc przypadek czy łaska losu? O tym nie myśleli ani Zygmunt Kosiecki — mistrz rurarski, Czesław Swacha — mistrz ślusarski, Mieczysław Biszcak — spawacz, czy Edward Szol — elektryk, ani Stanisław Waszczuk — mistrz stolarski, Jan Sobiecki — mistrz kotlarski, Henryk Wołowicz — brygadzysta montażu urządzeń przetwórczych, czy Julian Szmagliński — brygadzysta prób urządzeń, ani mistrzowie: Zbigniew Krzyżanowski, Władysław Szymczyk, Franciszek Krajcer, czy Jerzy Gadomski.

Jest chyba rzeczą jasną, że było ich więcej i że byli to w dużej mierze ludzie o dosyć wszechstronnym stopniu zainteresowania zawodowego. Przecież każdy element trzeba nie tylko zamontować, ale i wypróbować w działaniu i zdać najrozsądniejszemu komisjom odbiorczym. Skierował ich na to stanowisko pracy, oznaczone numerem statystycznym 164001, przydział pracy, decyzja kierownika czy kolektywu wydziału, wreszcie weszli na statek drogą normalnej przynależności wg ustalonego systemu organizacyjnego. Tak, że nie krasnoludki, ani przybysze z nieznanej planety, ani też mikroorganizmy, ale żywi ludzie, o różnym stopniu wiedzy i ambicji, o różnych możliwościach, konstrukcji fizycznej (od ascetycznej do atletycznej), a przede wszystkim o różnej konstrukcji psychicznej, co powodowało różne reakcje na „zewnętrzne bodźce”. Oto inne wyposażenie tego statku, oto dalsze, chyba najważniejsze narzędzie w trudnym procesie tworzenia, w którym Istotę Najwyższą na razie zastąpić musi człowiek.

Wzrastające z dnia na dzień crescendo do pracy aż do ochryplego forte syreny żegnającej stocznice, która odtąd będzie dla „Pionierska” pierwszą i jedyną matką, (albowiem port macierzysty można zmienić, armator może statek sprzedać, ale miejsca narodzin nigdy się z kronik wytrzeć nie da) — to wzrastające tempo coraz bardziej skomplikuje życie ludzkie zamknięte przez osiem a często i więcej godzin przycumowanych do kamiennego nabrzeża stoczni. Choćby się chciało pójść na plażę, która jest stąd niedaleko — wystarczy wsiąść do tramwaju; choćby się chciało iść posłuchać

(CIĄG DALSZY NA STR. 2, 3)





i zobaczyć Paula Ankę, który występuje w hali sportowej, mieszczącej się na terenie stoczni — wystarczy wspiąć się na jeden ze stojących niedaleko dźwigów... A tymczasem życie komplikuje się w różnych warstwach działania produkcyjnego, które żona i sąsiedzi w domu nazywają po prostu „pracą w stoczni”. Lecz i te słowa mają znaczenie różne — dotyczyć przecież mogą przewracania papierków w ciepłym pomieszczeniu, choć najczęściej powinny się kojarzyć z wypełnianiem ciężkiego obowiązku; w zimie, kiedy mroźny wiatr od zatoki uniemożliwia malowanie czy spawanie na powietrzu, a ludziom twarz pokrywa się szronem od kłębow wydechanej pary; latem, kiedy pot zalewa oczy od ciepła buchającego z nagranych słońcem blach, kiedy ciasne i duszne mimo wentylacji zbiorniki wydają się być puszkami utrapień i mąk fizycznych... Pojęcie „praca w stoczni” powinno się kojarzyć również z uciążliwą walką ludzi z terminami zdania pozycji harmonogramów, węzłów technolo-

Ten kolektyw rzecz jasna powołany jest decyzjami organizacyjnymi. Ukazuje się zarządzenie dyrektora naczelnego lub technicznego stoczni, w odniesieniu do produkcji bezpośredniej; szef produkcji wydaje wewnętrzne polecenie — wszystkie one, obok ustaleń ramowych terminów, pozwalają odpowiednich ludzi, wymieniając nazwiska, ustalać zakres odpowiedzialności i uprawnień, a nade wszystko zobowiązując. Maszyna zostaje wprowadzona w ruch. Na nagrody zaś należy poczekać jeszcze parę miesięcy.

Nazwiska ludzi, typowane często w oparciu o duże doświadczenie kierownictwa stoczni, nie eliminują jednak przypadku, nie eliminują również przeszkód, bo wyeliminować ich nie mogą. A przeszkody często jakby się zmówiły przeciw ukształtowaniu prawdziwie zwartego kolektywu — nie wszystkie komórki zależą od decyzji kierownictwa stoczni, często centrale czy delegatury różnych kooperantów i dostawców mieszczą się gdzieś na dalekim Śląsku lub w Po-

„dla idei”. Gdybym powiedział, że nie liczyli się z wyróżnieniami, to też skłamałbym. W podświadomości człowieka istniało chyba coś takiego, jak chęć pokazania otoczeniu swoich umiejętności, wyróżnienia się, zastąpienia na wywiad czy zdjęcie w gazecie, wreszcie na odznaczenie państwowe. Zapewne sprawiedliwość będzie tym ludziom oddana. Również i pewna część pasjonowała się możliwością wypłynięcia w pierwszy rejs eksploracyjny, choć to bogiem a prawdą nie umywa się do dziewiczego rejsu drobnicowców, które jak wiadomo obsługują atrakcyjniejsze linie południowe niż łowiska północnego Atlantyku. To wszystko prawda, ale wydaje się, że „ludzi Pionierska”, jak mówiono o nich w stoczni i w mieście, charakteryzowała szczególna zachłanność wiedzy, ciekawość dziecka dla poznania w działaniu nowo montowanych urządzeń, ambitne dążenie do „błysnięcia swoją smyką”, pokazania co się umie — „zagiąć resztę wiary”, „wyskoczyć do przodu”, „pobić na głowę”... Bo czy nie jest to pobicie rekordu na głowę, kiedy mistrz

TWARZ KOLEKTYWU



gicznych, wreszcie statków, walka na którą składa się cały gąszcz spraw wzajemnie się zagałęjących, szczególnie narażonych na zakłócenia; termin — „praca w stoczni” — powinien się kojarzyć z ciągłym, codziennym wspinaniem się i skakaniem po rusztowaniach, z chodzeniem po trapach zejściowych czy wejściowych aż do bólu serca, z nerwowym spiętrzeniem spraw do załatwienia (aż do bólu głowy), spraw często trudnych do skoordynowania z tempem prac na jednostce. Itd., itd.



Jeżeli tę pracę umiejscowimy na jednostce podobnej do „Pionierska”, a więc skomplikowanej, budowanej po raz pierwszy, wyposażanej w urządzenia często nieznanne, całkowicie skonstruowanej przez polskich konstruktorów, całkowicie zbudowanej przez wiele zakładów polskiego przemysłu — to wtedy jest chyba zrozumiałe, że jedność działania w wypadku tak komplikującym, jest warunkiem koniecznym i rozciąga się na cały zespół ludzi harmonijnie działający, którego zwykliśmy nazywać KOLEKTYWEM.



Kolektyw nie rodzi się sam, to nie Wenus, która wyłoni się z piany fal morskich na plaży w Brzeźnie czy w Sopocie; tworzy się, spełnia się prawie z dnia na dzień przez ciągle dopasowywanie temperamentów, przez eliminowanie uprzedzeń, przez wytworzenie się przyjaznej tolerancji lub zrozumienia, jeśli nie sympatii.

znaniu, a i ci najbliżsi, dzięki innej specyfice zarządzania swoim przedsiębiorstwem, dzięki innym zadaniom często rozbieżnym z interesami stoczni, nie podzielają entuzjazmu stoczników, dopominając się o nadgodziny nawet wtedy, gdy mają usuwać własne błędy. Również i ci, którym przychodzi się często borykać z różnymi przez stocznice nieprzezwyciężalnymi kłopotami, również i ci stanowią obiektywną przeszkodę.

A tymczasem „Pionierski” oczekuje zwartego kolektywu. „Zrozumieć się, zrozumieć drugiego, podporządkować swoje ambicje idei współpracy, tej idei decydującej o powodzeniu”. Tak więc tam, gdzie stanie na przeszkodzie odmienna czy nawet błędna koncepcja organizacyjna, zniwelować ją musi działanie człowieka, jego charakter, podejście do „towarzysza broni”, aktywne budowanie wzajemnego zaufania.

Świadomość ważności zadania docierała na „Pioniersku” do wszystkich. Od kierownictwa, które zrozumiało odpowiedzialność szczególną przy doborze właściwego personelu kierującego pracami, do samych „delegatów”, którzy z punktu widzenia działania bodźców materialnych znaleźliby odcinki produkcji znacznie ponętniejsze (ze względu na dłuższy cykl budowy statku ilość premii i nagród w roku jest tu siłą rzeczy znacznie mniejsza niż na innych statkach). Pewnie, nie musimy się chyba czarować, że kolektyw pracujący na „Pioniersku” pracował

rudurski Zygmunt Kosiecki z piątką najlepszych ludzi w przeciągu 12 godzin nocnych montuje 50 metrów bieżących rurociągów; bo czy to nie jest dostateczny sprawdzian zaangażowania, jeśli monter Jaworski przez dwa miesiące siedzi w stacji rurociągów solankowych i doprowadza ten węzeł do pełnej gotowości, emocjonując się każdym szczegółem... A inż. Tomaszyn z CBKO-1, który nie tłumacząc się „nawalankami” innych, sam operatywnie usuwał wszystkie usterki jakie przytrafiły się jego kolegom po grafionie (coż człowiek istota omylna) — czyż ta działalność nie świadczy o możliwości uprzedzenia największych uprzedzeń i własnych, może nietrafnych koncepcji organizacyjnych? Tacy sami, jak wyżej wymienieni — był Wołowiec, Szmagliński, Biszczak, Swacha, Szol. Nazwiska można by mnożyć, wierzyć na słowo.

Kierownicy budowy, to pracownicy szefostwa produkcji, których pełnomocnictwa w zakresie prowadzenia budowy sięgają bardzo daleko. Ba, im podporządkowani są na statku nawet konstruktorzy CBKO-1 — (nie mówiąc już o pracownikach wydziałów produkcyjnych, które schematem organizacyjnym podlegają szefowi produkcji). Kierownikiem całości zostaje mianowany inż. Jan Lackowski, Wacław Zienkiewicz jego zastępcą — równocześnie odpowiedzialny za urządzenia pokładowe i wyposażenie ładowni, Zygmunt Pabiś „oddelegowany” zostaje do nadzoru prac w maszynowni, a

Kazimierz Jankowski do szczególnie odpowiedzialnego, bo nieznanego i prototypowego polskiego urzędnika przetwórstwa rybnego. Inż. Zbigniew Gustowski bierze na swoje młode barki odpowiedzialność za systemy chłodnicze.

— Wydawało nam się, że taki zespół powinien najlepiej pracować: jeden posiada rutynę w pracach kadłubowych, drugiego interesują od dłuższego czasu siłownie i doskonale umie porozumieć się z przedstawicielami armatora, inny posiada dużą samodzielność w podejmowaniu decyzji z równoczesną umiejętnością wyróżniania spraw rzeczywiście ważnych i pierwszoplanowych, jeszcze inny posiada dar zjednywania sobie ludzi, co przy urządzeniach prototypowych, (gdzie przecież nie może obejść się bez poprawek, zmian i wielu prób), jest szczególnie cenne, trzeci posiada dużą dociekliwość i nie dopuści do powierzchownego traktowania spraw wymagających dużej precyzji, itd. itd.

To zalety tych ludzi. A wady? Kto ich nie ma: u jednego szorstkość, u innego brak większej rutyny, jeszcze inny jest wyjątkowym gadułą, z czego wynikają czasem komplikacje czasowe (interpelowany nie ma cierpliwości słuchać), ale to wszystko zeszło na plan dalszy. Przecież byli młodzi, silni, zwarci i gotowi... na wszystko.

— Widziałem, jeden staniał się na nogach.

— Był niewyspany.
— Mielicie kłopoty?
— Wyobraź sobie, że tak.
— Każdy dostał „szkołę”, jeden dziś, inny wczoraj.

— A jak się dopasowała reszta?

— Najlepiej pracowało się z tymi z nadzoru technicznego. O Stachowiaku nie muszę ci mówić.

— Kawaler złotej gwiazdy. (Tak nazywają go z racji jego odznaczenia Kawalerskim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski).

— A Kempkiewicz zasz? — Z Conradinum.

— Nie dowierzaliśmy mu. Myśleliśmy, odpalantuje sprawę.

— Okazało się...
— ... Rzeczoży i równy chłop.
— Na czym polegało uprzedzenie do niego?

— Czy ja wiem? Zwykle rozmawiał z nami na dystans, nie mieliśmy wspólnych spraw, kłopotów. Nie ma on nic z poklepywania i ściskania łap, to nie czaruję.

— Staraleś się zmienić — spytał Kempkiewicz.

— Równa wiara. Człowiek ich po prostu nie znał.

— Mówili, że ci nie ufali.
— Ja im też nie dowierzałem.
— A teraz chwała.
— Opilem z nimi sprawę.
— Poważnie.

— Człowieku, kiedy przychodzisz na taki statek, trzeba zrezygnować z niejednej ambicji osobistej. Trzeba przestawić swój stosunek do rzeczy na stosunek do ludzi, do zespołu, z którym masz pracować przez wiele mie-

sięcy. Rygory produkcji tego wymagają. Ambicję zużyć na dobrą, dokładną i szybką robotę.

— A tu tyle ciekawych spraw. Jeśli dogadałeś się z grupą szefostwa, czy nie odbyło się to kosztem twojej osobowości? Na dłuższy dystans byłaby taka zmiana męcząca.

— Nie jest ta osobowość aż tak silna, żeby jej nie okiełznać. Mówiłem już, rzecz polega na bliższym poznaniu i zrozumieniu stanowisk. Bliżej żyć, być z ludźmi codziennie, mieć te same kłopoty i interesy, to pozwala ci zrewidować niejedną ocenę. Na odległość Jankowski wydawał mi się szczególnie antypatyczny...

— Sprawdził się w działaniu.

— Doszliśmy do szybkiego porozumienia.

Po tej rozmowie nie zastanawiałem się już co lepsze: uzgadnianie stanowisk, wyrozumiałość i życzliwość czy despotyczne decyzje. Zasada koszarowej dyscypliny nie zawsze zdaje egzamin w życiu. Pociągnąć ludzi za sobą przykładem i układaniem dobrych stosunków, aby budowa pasjonowała jak ustawianie na poligonie doświadczalnym rakiet transkontynentalnej, to najlepsze. Oczywiście, na statku trzeba zrezygnować z dyskusji nad każdym szczegółem, ale ile twórczej myśli potrzeba często dla przełamania sytuacji, w której zawodzą normalnie dryl i twarda dyscyplina, ba, nawet przepisy często niewiele pomagają. Tak więc istotą kolektywu budującego „Pioniersk” było rozszerzenie dyscypliny o swoiste zaangażowanie trochę, według zasady: „Myśl, choć nie dyskutuj bez potrzeby”. Kolektyw całe swoje doświadczenie podporządkował terminom zdania poszczególnych węzłów i jakości potrzebnej dla uzyskania pełnej sprawności technicznej skomplikowanych urządzeń.

„Priekrasnyj korabl” mówili ludzie z Morskiego Rejestru i armatora. „Haroszyj” kolektyw go budował — chciałoby się dodać. Jeśli już mowa o ludziach, którzy „odbierali” statek, to dało się zauważyć i po „tamtej stronie bariery” absolutną zbieżność interesów. To nie zwykłe w innych stosunkach społecznych wzajemne „kiwanie się” producenta i kupca. Było to całkiem świadome działanie na korzyść obu stron. „Pioniersk”, jak oświadcza inżynierowie radziecy, otwiera nową erę rybołówstwa radzieckiego. Jak ważny był ten statek w planach radzieckiej gospodarki morskiej świadczy chyba fakt wydelegowania osobnej komisji państwowej do odbiorów końcowych. Stocznicy chwalili sobie współpracę z tymi przecież surowymi sędziami, bo znowu nie było to zwykłe, urzędowe traktowanie sprawy. Ze wszystkich spraw, nawet najbardziej drażliwych, wszędzie przebijała życzliwość i zrozumienie, życzliwość, która pozwalała stocznikom gdańskim przypuszczać, że sprowokowała niejedną sympatię, ba — może i przyjaźń. „Priekrasnyj korabl” oczarował więc i gości rządowych z Leningradu czy Moskwy.

Oczywiście, czarowi temu ulegli przede wszystkim sami budowniczy. Co prawda w ten mroźny dzień grudniowy (a był to ostatni dzień pobytu statku w stoczni, dzień, w którym problemem stało się wkręcenie przepalonego zwykłego bezpiecznika, bo ludzie mają dosyć i statku i problemów, które powoli zaczynają dokuczać stereotypem kłopotów), w ten dzień najpiękniejszą chyba muzyką dla zmęczonego kolektywu był nieco zachrypnięty głos syreny statku żegnającego stocznice, która w wielu miejscach wycisnęła swoje piętno pracy, znak fabryczny: kotwicę patentową w wieńcu koła zębatego z wpisanymi literami „S” i „G”.

— Wreszcie odpływa — westchnął któryś.

— Macie dość tej bazy.

— Nic nie wiem, o niczym nie myślę, nie jestem w stanie...

— Ostatnia noc zupełnie mnie skołowała — jeszcze to, jeszcze tamto, tę śrubę dokręcić, tamten zawór przecieka. Nareszcie mam to już za sobą...

W tym zmęczeniu, w którym dominowała rezygnacja i zniechęcenie, był chyba normalny ludzki odruch. Bohaterowie byli zmęczeni, ale nie żalowali decyzji objęcia prac czy nadzoru na tej „łajbie”, jak mawiali pieśzczotliwie o „Pioniersku”.

Niedługo kolektyw się rozleci, taki jest los kolektywów budujących statki, rzecz niespotykana w żadnym przemyśle naszej gospodarki — ciągle dopasowywanie się nowych ludzi, nowych charakterów... Większość z nich przejdzie na bazy, niektórzy może się spotkają na kolejnej „łajbie”, część tego kolektywu popłynie w pierwszy rejs eksploatacyjny, by zebrane tam doświadczenia przekazać kolegom prowadzącym budowę dalszych jednostek, myślę jednak, jestem już teraz pewien, że większość nie zapomni tego okresu budowania pierwszej bazy typu B-64, wszystkich dobrych i złych chwil spędzonych na budowie pierwszego, prototypowego statku-bazy przetwórczej, „priekrasnej” rewelacji przemysłu stoczniowego, nie tylko w skali krajowej.

Oprócz bowiem doświadczeń fachowych zdobytych przy rozwiązywaniu szeregu skomplikowanych zagadnień technicznych na tej jednostce, najważniejsze będą doświadczenia zdobyte przy wzajemnym budowaniu zespołu ludzkiego, kolektywu, który zdał trudny egzamin życiowy, jeden z tych egzaminów, jakie stawia przed człowiekiem piękny zawód stoczniozca, zawód w którym kolektyw jest sprawą decydującą.

Jeśli przyjdzie wam kiedykolwiek ich spotkać, to pomyślcie o nich przede wszystkim jak o ludziach, albowiem ich kwalifikacje zawodowe są u nich koniecznym dodatkiem, a decyduje charakter. Reprodukujemy ich zdjęcia, może wycytacie go z twarzą. A może wyjrzy z tych zdjęć twarz kolektywu. Dlatego zdjęć nie podpisałyśmy.



BOLESŁAW FAC



FOT. Z. KOSYCZARZ

TWIERDZA U WISŁOUJŚCIA

Klucz do najpotężniejszej polskiej twierdzy morskiej wręczyła mi młodzianka, uśmiechnięta blondynka — sekretarka konserwatora miejskiego Gdańska. O czasy, o obyczaje! Nawet nie musiałem pokazywać dziennikarskiej legitymacji. Powiedziała, że zna mnie z telewizji i życzyła mocnych wrażeń. Twierdza jest ogromnie romantyczna, poetyczna, historyczna, a nade wszystko jest szlachetnym klejnotem naszej wojskowo-morskiej architektury.

Do Wisłoujścia najlepiej przyplynać staropolską komiegią i to spod samych Tatr, czytając po drodze flisaczy poemat Sebastiana Klonowicza, zawijając do zabytkowych nadwiślańskich grodów Krakowa, Sandomierza, Kazimierza, Warszawy, Włocławka, Torunia. Spływ taki jest kwintescencją krajoznawstwa, odświeżającym przeżyciem turystycznym. Daje właściwy pogląd na miejsce, w którym królowa naszych rzek łączy się z Bałtykiem, a o którym Fryderyk Wielki, dokonując pierwszego zaboru powiedział: — Kto posiada ujście Wisły, ten jest większym panem Polski, niż król, który w niej rządzi.

Przed Prusakami walczyli o Wisłoujście Duńczycy, Husyci, Krzyżacy, Szwedzi, Rosjanie, Francuzi i... wcale nie jestem pewien, czy wymieniłem wszystkich. Forteca broniła się dzielnie i nigdy nie tchórzyła, a jeśli kiedy uległa, to wobec jawnej przemocy.

W szczęśliwy czas, czas pokoju, Wisła rola się od komiegi, szkut, dubasów, tratów i galarów, a morska strażnica oświetlała korałami i koggom drogę do gdańskiego portu. W ogóle najpierw była latarnia, a potem

forteca, a wszystko zaczęło się od smolnego łuczywa zatkniętego w miejscu rybackiej osady. Osady tak starej jak dzieje tej ziemi, rzeki, morza.

Aż przyszedł czas, kiedy fale Wisły i fale Bałtyku, jakby w przeczuciu tego co nastąpiło, utworzyły wokół starej forticy nowy szaniec. Szaniec z polskiej ziemi, znany światu — Westerplatte.

Nawet nie próbuję opisać architektury wiekowej twierdzy, arcypięknych linii gotyku, renesansu, baroku, które w ciągu stuleci formowały jej kształt, budowlany kunszt niderlandzkiego mistrza Antoniego Van Opbergena i polskich budowniczych Jana i Jerzego Strakowskich, tajemnych forteli bastionów, fos, wałów, które umacniały jej obronność. W wieku fotografii i turystyki nie jest to już potrzebne. Zwiedzając Wisłoujście nie sposób jednak oprzeć się fali wspomnień. Warto posłuchać szumu morza, głosu rzeki, wierszy poetów, które spłoty się tutaj w tysiącletnią pieśń...

...Wisto moja, Wisto stara,
Co tak smutno pytniesz?
Skąd tej wody nazbierałaś?
Mów nim w morzu zginięsz.

Smętna ta piosenka o głębokiej politycznej aluzji skomponowana została przez więźnia twierdzy — powstańca 1863 roku. Śpiewana była przez dziesiątki lat na pomorskich wieczornicach. Jej nuty znajdziesz w starych gdańskich śpiewnikach.

W zbiorach Wawelu zachował się inny dokument — tajny list, tak zwany gryps, prze-

mycony z Gdańska 6 czerwca 1831 roku. Ukryty pod pseudonimem „Wiadomy” autor donosił Powstańczemu Rządowi w Warszawie, że na Wisłoujściu powiewa żółta flaga, a Gdańsk otoczony jest pruskim kordonem. W ciągu tygodnia zmarło w Gdańsku 30 ludzi. Trzy ulice, kilka domów, trzy wioski zamknięto. Na koniec listu autor zapytuje stroskany o los swoich synów wyprawionych w obronę rodaków.

Równie rewelacyjnie brzmi fakt, że nauczyciel Józef Chociszewski, skazany na dwa lata twierdzy w Wisłoujściu, wykorzystał ten czas na napisanie trzytomowego podręcznika języka polskiego pod tytułem „Przyjaciel polskich dzieci”.

Najstarszym rangą więźniem Wisłoujścia był generał brygady Szymanowski. Najmłodszy wiekiem wielkopolski lekarz i społecznik Karol Marcinkowski. Najczęściej przesiadywali tu pomorscy dziennikarze, a najliczniej rewolucjoniści Wiosny Ludów.

Na szczęście bywało w Starej Latarni także i wesoło. Zwłaszcza w sobotkowe noce, kiedy spływały tu kolorowe wianki rzucane do Wisły przez najpiękniejsze krakowianki, warszawianki i gdańszczanki. Bywało uroczyste, za każdym razem, gdy nowy komendant Morskiej Strażnicy składał przysięgę wierności polskiemu monarsze. Bywało hucznie, gdy w twierdzy gościł król z dworem. Romantycznie, gdy bawił w niej młody król Władysław lub piękny książę Józef.

Największy szum powstał, kiedy 56 okrętów Zygmunta III Wazy podnosiło kotwicę i rozwijało żagle, ruszając po szwedzką koronę. Podobno sześć tysięcy najprzedniejszej naszej szlachty wybrało się za morze. Krocie wydano na dynastyczne mrzonki. Wyprawa była wspaniała lecz wojna potem straszna. Twierdza się broniła, ale szwedzki potop zalał kraj. Spod Wisłoujścia pod Oliwę popłynęła teraz wojenna flota, po swe świetne zwycięstwo pod szwedzką eskadrą. Forteczne armaty znów były wiwaty. Ta bitwa była w naszych morskich dziejach tym, czym bitwa pod Grunwaldem w dziejach walk lądowych. Ale po Oliwie, podobnie jak po Grunwaldzie, sprzeczne interesy naszych magnatów zaprzepaściły żołnierski trud. Mury nadmorskiej twierdzy pamiętają wielu śmiałych żeglarzy i wielu rycerzy walecznych, którzy nieraz wyruszali stąd na bój z krzyżackim zakonem i szwedzką armadą.

Pamiętają także okres kaprów i piratów. Przez Wisłę przeciągnięto wtedy gruby łańcuch, który opuszczano dopiero gdy statek pokazał ładunek i opłacił cło. Rozmaite bywały z tym kłopoty. Doświadczona załoga likwidowała je sprawnie. W skrytych fosach twierdzy stały gotowe na wszelki wypadek zbrojne galerie. Między wierszami średnio-wiecznych kronik można wyczytać, że wśród wioślarzy owych galar byli skazańcy, których dla zabezpieczenia wyroku, przykuwano do łodzi. A więc i Gdańsk miał swoich galerników.

Chodząc po Wisłoujściu dojść można do czasów najdalszych. Gdy rozpalano pierwsze ognisko nie myślano o historii. Nie znamy więc daty. Opisano za to dokładnie drugie, a właściwie dwa ogniska latarni. Były one tak przemyślnie rozstawione, że gdy sternik spostrzegł iż znajduje się na linii przecięcia obu ognisk świetlnych, to mógł być pewny, że statek jego jest na najlepszym kursie do portu.

W tysiąc lat potem, pod tą właśnie latarnią podpalono świat. Ale tego nie dokonali już słowiańscy rybacy. Każdy może zobaczyć miejsce, gdzie pod pretekstem kurtuazyjnej wizyty stanął hitlerowski pancernik Schleswig-Holstein, skąd nie przywitawszy się z nikim, rozpoczął mordczy ogień.

Pod gruzami Gdańska ocalała krucha płyta patefonowa. Bezcenny dokument — pierwszy reportaż ostatniej wojny światowej. Nagrane na gorąco, na pokładzie hitlerowskiego pancernika, przez niemieckiego korespondenta. Na płycie utrwalono kanonadę wszystkich dział okrętów, bombardowanie Stukasów, ogień

(DOKOŃCZENIE NA STRONIE 19)



OSTATNI ROZDZIAŁ

Uważałem się za znawcę problemu. Od szeregu lat publikowałem artykuły o tematyce młodzieżowej, a że mój własny wiek coraz bardziej zdecydowanie przechodził w sstateczną dojrzałość, mogłem zdobyć się na odpowiedni dystans potrzebny do bezstronnej obserwacji. Ten obiektywizm naciągał mi nieco bardzo agresywna obecność w moim życiu istoty nastoletniej, która pełniła w nim podwójną rolę: była moim synem i niezaprzeczalnym natchnieniem — o czym oczywiście wiedział — wszystkich moich dydaktycznych wystąpień. Kiedy więc pewne poważne wydawnictwo zaproponowało mi wydanie moich artykułów w obszernym zbiorze, pomyślałem — i tym razem niewolny od mego „natchnienia” — o zamknięciu tomu rozdziałem, który nie był jeszcze napisany, a który miał dotyczyć mojej własnej nastoletniej przeszłości.

Pobrawszy więc zaliczkę od wydawcy, udałem się do miasta mojej młodości, wcale nie tak odległego, jeśli się już raz zdecydowało na podróż. W drodze ułożyłem sobie szczegółowy plan owego wspomnieniowego rozdziału, w którym widziałem szereg wypunktowanych odpowiedników, korespondujących cienko, a wyrafinowanie z poszczególnymi artykułami, rozprawiającymi się z owym zdumiewającym zjawiskiem, zwanym ogólnikowo młodzieżą współczesną.

Po przyjeździe i po odnotowaniu dziwnego spostrzeżenia, że miasto mimo niewątpliwego rozwoju jest jakby mniejsze od moich wspomnień — udałem się, pozdrawiając znajome domy, jak żywych, tylko trochę postarzałych przyjaciół, do budynku mojej dawnej szkoły. I ona była mniejsza, niż sobie zawsze wyobrażałem, tak mała, że aż dobudowano do niej nowe, wspaniałe skrzydło, duże i nowoczesne, przy którym ona sama wydawała się starym i trochę śmiesznie doczepionym skrzydełkiem. I rzeka była inna, czego zupełnie nie mogłem już jej wybaczyć, ponieważ rzeka była zawsze najprawdziwszą dumą i najprawdziwszym niebezpieczeństwem wszystkich chłopców tej szkoły. Płynęła nieopodal budynku groźna i ciemna, podbita grząskim mułem dna. Przez wiele lat szczylił się tym, że któryś z nas się w niej utopił, ponieważ nigdy nie było pieniędzy na ogrodzenie dla szkoły i podczas wszystkich przerw ciągnęliśmy zawsze na brzeg, już choćby tylko dlatego, że nie wolno nam było tego robić.

Teraz rzeka płynęła skromna i grzeczna w rygorystycznie uregulowanym korycie i nie trzeba było wcale tak wysokiej siatki wokół szkoły, aby uniemożliwić przesiadywanie nad jej brzegiem. Po prostu nie mogła ożywić niczyjej wyobraźni.

Główne wejście do starego budynku było zamknięte, więc skierowałem się ku szerokim schodom nowego skrzydła, żałując, że nie owionie mnie owa skondensowana woń szkoły, którą spodziewałem się odnaleźć tylko w wąskim, ciemnym korytarzu, w którym objaliśmy sobie boki, pędząc na przerwę, lub po skończonych zajęciach. — W tej nowej części szkoły powitała mnie cisza i czyste powietrze dobrze wentylowanego pomieszczenia. Lekcje dopiero co się zaczęły we wszystkich klasach i broniąca ich spokoju woźna zatrzymała mnie w drzwiach.

— Do pana dyrektora — powiedziałem, pragnąc moje spotkanie ze szkołą rozpocząć od oficjalnej wizyty.

— Pan dyrektor na lekcji — staruszka była stanowcza, więc przystanąłem pełen szacunku przy jej krześle. I nagle uderzyło mnie coś w jej rysach i głosie, właśnie owa nadmierna „ważność”, która zawsze pokrywała zbyt miękkie serce naszej pani woźnej.

— Pani Figus? — krzyknąłem.

Staruszka trzepnęła mnie w ramię.

— Toś ty z naszej szkoły?

— A z jakiej by innej? Nie pamięta mnie pani? — i nie chcąc narażać pamięci starej woźnej na zbyt wielki wysiłek, przedstawiłem się jej z imienia i nazwiska, z wszystkich przezwisk oraz z wszystkich ławek, w których siedziałem w tej szkole. Pamiętała mnie.

— Popatrz, popatrz — powiedziała. — Tak wyrosłeś.

Przyzwyczałem się już do tego, że mówiono mi: Posunąłeś się, stary! — a w najlepszym razie: Jak ty się dobrze trzymasz! A ona powiedziała: Wyrosłeś. I dodała zaraz:

— Ja syna zastępuję, musiał wyjechać na dwa dni. Nie pamiętasz Bronka?

Pewnie go pamiętałem, musiałem go pamiętać, wydawało mi się, że wszystko pamiętałem z tamtych lat.

— Przecież to ty go popchnąłeś wtedy do rzeki, nie przypominasz sobie? Mało się nie utopił.

— Utopił się Śródka! — krzyknąłem. — I nikt go nie popchnął.

— A, to było innym razem — staruszka poprawiła się na krześle. — A Bronka uratował pan profesor od gimnastyki. Już nie żyje — westchnęła.

— Bardzo mi przykro — bąknąłem, nie zdając sobie sprawy ile by teraz mógł mieć lat czcigodny profesor.

— A wtedy te warkoczki Krysi Pastulance to też ty obciąłeś? — ożywiła się pani Figus. — Nawet nożyczki ode mnie pożyczyleś. Tylko czekałam, żebyś się przyznał, że to ja ci je dałam.

— Ale się nie przyznałem!

— Nie — staruszka znowu trzepnęła mnie w ramię. — A noga już cię nie boli?

— Noga? — zdziwiłem się.

— Bo przecież złamałeś nogę, kiedy zeskoczyłeś wtedy z pierwszego piętra. Miałeś zostać po lekcjach — zaraz, za co to było? Nie pamiętam...

— Schowałem okulary panu profesorowi od matematyki — szepnąłem.

— Właśnie! Panu profesorowi od matematyki. Też nie żyje.

Milczałem, patrząc na jasny parkiet nieskazitelnej podłogi korytarza.

Staruszka znowu dotknęła mojej ręki.

— A jak ukradliście samochód doktorowi, pamiętasz?

— To już nie ja — krzyknąłem. — To Wacek, jego syn!

— Cii... — staruszka wymownie spojrzała po zamkniętych drzwiach klas. — Dlaczego tak krzyczysz?

— Bo pani tylko na mnie! Tylko ja i ja — innych pani nie pamięta?

— A pamiętam, pamiętam. Wszyscy byliście do siebie podobni. Tylko ty się tu zjawiłeś, więc sobie przypominam. — A co teraz robisz?

— Jak to — co robię? — bąknąłem. — Czekam na dyrektora.

— Ale tak w ogóle? Z czego żyjesz?

Zadzwieczał dzwonek i był to najsympatyczniejszy z dzwoneków świata po najdłuższej na świecie lekcji. Otworzyły się drzwi klas, na korytarzu zrobiło się od razu gwarno i tłoczno, ktoś mnie popchnął, ktoś kopnął w kostkę, a do pani Figus dopadł zdyszany młodzieniec.

— Nożyczki! — wyszeptał — Na sekundę nożyczki!

Sięgnęła ręką w głąb przepastnej kieszeni fartucha. I mrugnęła do mnie.

— Nie bój się. Oni teraz obcinają tylko tarcze. Poczekaj, zaraz cię zaprowadzę do pana dyrektora.

— Nie! — krzyknąłem. — Nie! Przypomniałem sobie, że mam umówioną inną wizytę na mieście. — I kiedy gnałem po schodach, czułem na swoich plecach zdumione spojrzenie starej woźnej, która tak bardzo lubiła łobuzów wszystkich pokoleń.

FLEM

Ma 17-cie lat. Jest uczniem I Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni-Orłowie. Pasjonuje się malarstwem. Nazywa się Maciek Jedryś. W naszych „Literach” i swoim życiu debiutuje po raz pierwszy tym oto rysunkiem. Czy wam się podoba? Nam tak. Maciek pragnie studiować grafikę na którejś z naszych wyższych uczelni plastycznych. Życzymy mu powodzenia.



Tour de Copenhague

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Pani Gertrud With z podziękowaniem za pierwszy spacer po Kopenhadze

Nie lubię plakatowości ani jakiegokolwiek afiszowania się, a jednak za inicjał mych kopenhaskich przechadzek wybrałem, afisz. Nie nasz, choć jednym z najciekawszych wydarzeń kulturalnych podczas mego pobytu w „Paryżu Północy” było otwarcie przy Konges Nytorry głośnej już w świecie wystawy polskiego plakatu, ale miejscowy, taki, którego zadaniem jest zachęcenie turystów do odwiedzenia duńskiej metropolii. Słowem: coś w rodzaju wizytowego biletu.

Przedstawiono na nim policjanta, który przyjaźnie się uśmiechając zatrzymuje ożywiony ruch uliczny, by komiczna rodzinna kaczka mogła ku radości przechodniów bez pośpiechu i niebezpieczeństwa przeczłapać z powagą przez szeroką jezdnię.

Dowcipny grafik nie potrzebował tym razem zbytnio wysilać inwencji dla (jakże umiejętnego i ujmującego!) zareklamowania swego miasta. Fotografia autentycznej scenki, zamieszczona w książce o współczesnej Danii, świadczy niezbicie, że kapitalnego pomysłu dostarczyła mu kopenhaska ulica, zawsze życzliwa i opiekuńcza wobec gości, nawet nie szeleszczących dolarami czy zgół kłopotliwych, jak choćby dopiero co wspomniani państwo Kaczorkowie.

Miłe, serdeczne miasto. Jeżeli dla hugenoty Henryka IV francuski Paryż wart był mszy, to również ten północny z pewnością wart jest nabożeństwa a co najmniej wizyty i szczerzej sympatii od wszystkich, którzy go zobaczą.

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ

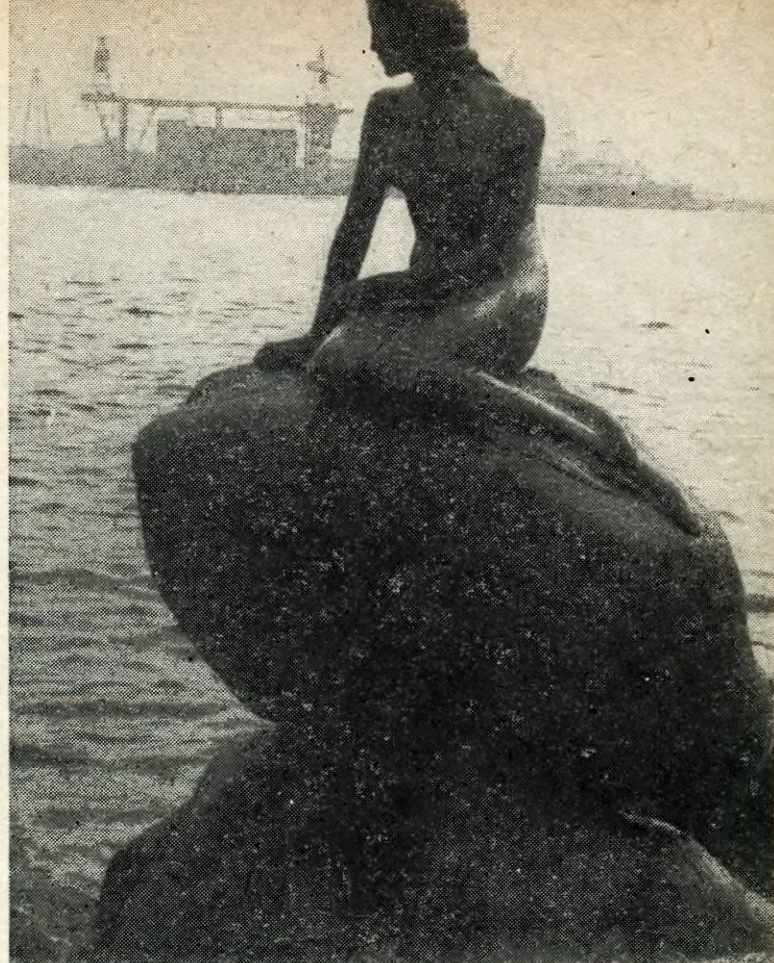
— Pokaż mi swego psa, a powiem ci kim jesteś — proponuje bodajże Fafik, czworonogi mędrzec „Przekroju”.

Nie udało mi się, niestety, poprosić o wywiad jego kopenhaskich kolegów. Widziałem natomiast przy ulicy Wielkiej Królewskiej „sklep specjalny” dla psów obficie zaopatrzony w smakowite pachnące kości z gumy, wełniane wdzianka i prawdopodobnie wszystko, czego zdola zapragnąć najwybredniejsza z psich dusz. Widziałem czarne pudle wypielęgnowane przez fryzjerów, które wyprowadzały swe posłuszne panie na wieczorny spacer do parku. Panie pokornie dreptały u drugiego końca linewki starając się nadążyć za panem i władcą, on zaś merdaniem przyszytych kłitki raczył wyrażać im łaskawe zadowolenie.

— Widzicie, że „życie pod psem” nie jest najgorsze.

Łabędzie majestatycznie bielejące w modrym zmięczeniu na sennych wodach Sortedamsa podobnie zadowolone są w pełni ze swego losu. Zwłaszcza odkąd pozbyły się konkurencji bocianów. Tych kiedyś tyle tu było, że Dania, nie pamiętając, iż Andersen nazwał ją „łabędzim gniazdem”, lekkomyślnie przyznała pierwszeństwo czerwononogim długonosom. Katedralne Ribe szczyliło się przydomkiem „bocianiego miasta”. Waldemar Daae, magnat z Borreby, wyrąbał na budowę wielkiego okrętu cały las, oszczędził tylko to drzewo, na którym uwił gniazdo czarny bociek.

Zaszczyty, przywileje... Zdawałoby się: żyć nie umierać w takich warunkach. Mimo wszystko niewdzięczne długonosy zaczęły ni stąd ni zowąd bojkotować ojczyznę Hamleta i



FOT. Z. KOSYCARZ

stały w niej się tak rzadkie, że w roku 1960 urzędowy dekret odebrał im na korzyść skromnych skowronków godność narodowego ptaka. Gdzie szukać źródeł niezrozumiałego bojkotu? Może wczasowiczów znad Nilu razilo, że brzydką fontannę z bocianami na Anagertory postępują kopenhazanie szyderczym przewiśkiem: „Paraplystativet, stojak do parasoli”?

Konia z rzedem temu, kto znajdzie prawdziwą przyczynę urazy.

Konia? Konie są tu w niemałej cenie, cieszą się powszechnym szacunkiem. Latem nakłada się im podobno słomiane kapełuszki, których nie zdejmują przed nikim. Mają też swój pomnik na Królewskim Nowym Targu. Co prawda, na spółkę z Chrystianem I, lecz świeżo upieczeni studenci w białych czapkach, bawiący się co roku po maturze dokoła ocienionego lipami skweru, ignorują zasłużonego monarchę, a jego monument zwą krótko, węgłowato:

— Koń.

Koni ma być w Danii około 200.000, w stolicy jednak widuje się je tylko na cokołach, w domach towarowych, gdzie najmłodsze pokolenie cwałuje z entuzjazmem na zelektryfikowanych wierzchołkach uruchamianych przy pomocy drobnej monety, a wreszcie w zaprzęgach furgonów załadowanych beczkami piwa. Dostojnie kroczą w paradnych uprzężach ozdobionych inicjałami firm i srebrnymi koronami świetnie zdając sobie sprawę, że woźnica tronuujący na koźle pod dwubarwnym parasolem trzyma bat wyłącznie „od parady”. Co najwyżej odpędzi nim muchy znad ich grzbietów. Uderzenie perszerona byłoby zbrodnią równą obrazie majestatu. Przecież dwa z nich zdobyły rozgłos większy niż Bucefal i Rosynant: objechały dokoła świata ku wielkopomnej chwale któregoś z duńskich browarów.

— Zmotoryzowanie taboru przyniosłoby browarnikom duże oszczędności — objaśnił mnie znajomy autochton — żadnemu

wszakże z piwowarów wiernych tradycji i zasadzie „Reklama jest dźwignią handlu”, nawet w śnie nie przyjdzie do głowy myśl, by zlikwidować złotodajne kobyłki. Bo też i koń by się uśmieł z tak niefortunnego projektu.

ZMIERZCH STAŁOWYCH RUMAKÓW CZYLI PRZENIKAJĄCY CZAR DWÓCH KÓŁEK

Na wyspie Amager, w pociętej malowniczymi kanałami dzielnicy Christianshavn, mieści się przy Ovinggade firma Broste, najbardziej znany z 350 kopenhaskich antykwariatów, wyspecjalizowany w intratnym handlu wytworami polskiej sztuki ludowej. Po jego muzealnym bez mała dziedzińcu uroczyście patroluje majordomus w czerwonej liberii, czarnych pluderkach i niebieskich pończochach, strzegąc jak oka w głowie bezcennej relikwii. Owym skarbem nad skarby jest drewniany bityk z epoki króla Cwiczka zawieszony nad bocznymi drzwiami, czcigodny protoplasta milionów stalowych rumaków, które niepodzielnie załwładnęły Kopenhagą.

We wszystkich punktach miasta pracują warsztaty naprawy rowerów. Na wielu ulicach ograniczono jezdnię dla kolarzy, którymi pomyka to malarski czeladnik z długą drabiną na ramieniu, to gospodyni z koszem wiktuałów, to wesoły goniec — swajer, postać z wierszy i piosenek, cowboy asfaltu. Z małpią zrzecznością wymijają auta i tramwaje, dzwoni jak opętany, do przechodzących kopenhazanek zwraca się per „ciotko” lub „siostrę”, sypie żartami jak z rękawa. Może to u niego zapożyczyć

ła się nasza Zapolska, bo wciąż tu jeszcze w obiegu jest dowcip znany nam w trochę zmienionej wersji z „Ich czworo”:

— Umiem już doskonale jeździć na rowerze. Obalilem bańkę z mlekiem, potrafiłem psa, najechałem na policjanta i... nie spadłem z siodełka.

Przed urzędami, fabrykami, dworcami nadal piętrzą się gigantyczne sterty rowerów. Śmieją się Duńczycy, że pewnych siebie Anglików wprawić mogą w zakłopotanie dwa jedynie pytania: w jaki sposób Chińczyk poznał swą żonę wśród rzeszy Chinek podobnych jak kropki wody Żółtej Rzeki i jakim cudem obywatel Kopenhagi odnajduje swój rower wśród tysięcy jego sobowtórów? Czy? Są dziwy na niebie i ziemi o jakich nie śniło się nawet Szekspirowi.

Pewien polski autor pisząc o Danii twierdzi, że złodziejowi roweru grozi tam długoletnie więzienie, a co gorsza utrata rejestracyjnej karty i prawa jazdy po wielu wiekach. Na miejscu zapytałem, czy odpowiada to prawdzie. Moja informatorka uśmiechnęła się pobłaźliwie:

— Rowery nie mają u nas rejestracyjnych numerów.

Rower, rower, rowerowi, rowerem... Łatwiej wyobrazić sobie ład bez mgły, Pragę bez piwiarni, a Kraków bez zaczarowanych dorożek, niż Kopenhagę bez tego środka lokomocji. W kioskach sprzedaje się kolorowe zdjęcia brodacza Wikinga w rogatym hełmie i okularach, który ściąga fajkę beztrószko pedału na stalowym rumaku. Zdawać by się mogło, że jeżdżono tu rowerami od zarania dziejów i że w sądny dzień Duńczycy na rowerach przyjadą do Doliny Józefata, ale to omyłka. „Coś się psuje w państwie duńskim”. Coraz rzadziej widać rodziny wyjeżdżające w komplecie rowerowym peletonem na weekend. Coraz więcej samochodów tarasuje ulice i szosy.

Nadejdzie chwila, w której urok dwóch kółek sprowadzi się do jednego... smętnego zera. Ustąpi nieodpartemu czarowi czterech kółek. Cała pociecha, że w zatłoczonym śródmieściu kolarze na stalowych rumakach triumfują nad automobilistami, którzy wolą nadłożyć wiele kilometrów, niż bez koniecznej potrzeby zapuścić się na ten nieprzyjemny teren. Dlaczego? Z powodu następującej definicji:

— Kto to jest człowiek pieszy?

— To taki szczęściarz, któremu powiedzło się zaparkować samochód.

NOSIŁ WILK RAZY KILKA...

„O wilkach nadmieniałem — wspomina Jan Chryzostom Pasek, pierwszy polski reportażysta opisujący Danię — że ich tam nie masz, bo prawo takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tako po miastach, jako też i wsiach, i tak długo owego wilka prześladować gonią, aż go albo umorzą, albo utopiają, albo złapają; to go nie odzierając, tak ze wszystkim na wysokiej szubienicy albo na drzewie obieszają na grubym żelaznym łańcuchu...”

Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Dziś zwykłych wilków szukać w Danii równie się nie oplaca, jak chuliganów, rozmnożonych bez liku w dwóch pozostałych królestwach Skandynawii, i nie tylko tam. Niech jednak nasi specje od handlu z zagranicą nie korzystają z pana Paskowej rady, by „we Gdańsku u pana prezydenta najać szmagę do przewozu, zapłaciwszy od niej dobrze” w celu wyeksportowania nadmiaru chuligańskich bubli, jakie mamy na składzie. Duńczycy na taki import nie refluktują. Do szczęścia wystarczą im „morskie wilki”, od dawna wzięte pod ochronę przez królów i państwo.

O FUNDATORZE ORDERU SŁONIA I JEGO HODOWLI MORSKICH WILKÓW

Murowany tego dowód widnieje opodal sielankowej cytadeli, której szanę wieńczy holerderski wiatrak. Dowód ów stanowi dzielnicę Nyboder. Jej uliczki noszą osobliwe nazwy: Delfinengade, Łabędzia, Tygryś... Zółcą się przy nich piętrowe domostwa o seledynowych ramach okiennych i brunatnych okiennicach. Od czerwieni spadzistych dachów odcinają się białe kominy w tynkowanych czepekach. Wieczorem u każdego węgla migocą przytwierdzone do ścian staroświeckie latarnie. Od strony Kronprinsensgade czuwa na straży osady spizżowy wiceadmiral Suenson, bohater spod Helgolandu. Na skwerku zaś przy ulicy Krokdylu w cieniu starych drzew wspiera się na lasce brzuchaty pan w szerokoskrzydłym kapeluszu, najpopularniejszy z następców Kanuta Wielkiego, ten, którego sławi duński hymn narodowy:

„Gdzie grotmaszt, tam król Chrystian stał...”

To właśnie on, fundator Orderu Słonia, ufundował swym okrętnikom w pierwszej połowie XVII wieku baśniowe Nyboder. Zbudował je bez partactwa i brakoróbstwa. Tylko nad jednym z domków trzeba było tej jesieni rozpiąć namiot, aby ustrzec lokatorów przed moknięciem podczas remontu dachu. Inne trzymają się mocno. Marynarze Kongolinge Marine mieszkają tu jak mieszkali przed trzysiąt laty, z tą tylko różnicą, że teraz przed furtkami parkują ich samochody.

Do mieszkań nie zajrzałem, choć bardzo byłem ciekawy czy i tam się co zmieniło. Mówił mi bowiem Hilmar Wulff, znawca starej Kopenhagi i duńskiej Polonii, że praktyczny król (nawet odlamki pocisku, który pozabawił go oka w morskiej bitwie, zmienił w koleczyki pani swego serca, sławne, przechowywane w zbiorach zamku Rosenborg zausznice Vibeke Kruse) w tym prototypie mieszkaniowych osiedli polecił schodki wiodące z parterów na piętra zastąpić okrętowymi linami.

— Do widzenia królu Chrystianie. Chętnie obok Orderu Słonia zawiesiłbym ci na piersi honorową odznakę racjonalizatora. Zasłużyłeś na nią chociażby za tę linową innowację, dzięki której twoje wilki morskie musiały nawet podczas urlopów bez przerwy wraz ze swym potomstwem ćwiczyć się we wspinaczce na maszty, tak wówczas potrzebnej w marynarskim fachu.

ZIELONE ZWIERZĘTA

Duńczycy z zamiłowaniem hodują kwiaty (doniczki, wazon, flakoniki tłoczą się za każdym oknem), lubią ryby (szczególnie na półmiskach w Fiskchuset — rybnych restauracjach Gammelstrandu), kochają zwierzęta wszelkiej maści. Z jednym wyjątkiem, który potwierdza regułę: nie cierpią zielonych zwierząt. Na szczęście gatunek ten należy tu już do wymarłych i nie ma go nawet w zwierzyńcu na Fredriksbergu. Był jednak okres, kiedy plenił się nagminnie. Chodzi po prostu o niemieckich okupantów. Od czasu walk o Schleswig-Holstein, które w 1864 r. dały się Danii we znaki dotkliwiej jeszcze, niż w 1939 ich, opatrzony cudzysłowem, imiennik obrońcom Westerplatte i Helu, słowo „Tiuske” (Niemiec) stało się obraźliwym wyzwiskiem. Może więc z kurtuazji podczas ostatniej (daj, Boże) wojny dla nieproszonych gości, rządzących się niczym szare gęsi (zakazywali np. druku niektórych baśni Andersena) znaleziono to kolorystyczno-zoologiczne określenie.

„Zielone zwierzęta” szybko stały się tematem niezliczonych dowcipów. Szydzono z nich bez ustanku, lecz dopiero po długim czasie ciężko myślni najeźdźcy domyśliли się o kim mowa. Równie długo trwało, nim odgadli, że modne w latach okupacji okragłe czapeczki w trzech kolorach naśladują dokładnie rozpoznawcze znaki na skrzydłach samolotów RAF, są wyrazem proaliantkich sympatii.

Polacy nie gęsi. Swoją język mają, i to ostry, lecz Duńczycy pod tym względem także nie wypadli sroco spod ogona. Umieli dociąć Herren czy raczej Herdenvolkowi. Przykłady? Proszę bardzo: Jeden z profesorów umieszczonych za drutami obozu pod Kopenhagą podchodzi do nadętego jak indor wachtmanna który w żelaznym hełmie, dzierżąc karabin najeżony bagnetem, trzyma straż przed obozową latryną.

— Przepraszam najmocniej — staruszek grzecznie uchyła kapelusza — czy to szanowny pan pełni tu funkcję tak zwanej babki klozetowej?

Albo: łapanka w Kopenhadze. „Zielone zwierzęta” zatrzymują rowerzystów, liczniejszych niż

kiedykolwiek, bo niezależnych od benzynowych ograniczeń. Brutalnie obmacują podejranych. U któregoś natrafiają wreszcie na przedmiot podobny do lufy, ukryty w zanadrzu.

— Hast'ne Waffe?

— Ja, Luftwaffe — przyznaje bez sprzeciwu podejrany i wyciąga zza pazuchy... rowerową pompkę.

Wreszcie: wysoki oficer Gestapo z monokłem w oku butnie spaceruje po Langelinie. Mija starą babinkę kuszątkającą o dwóch kijach. W tym momencie starowina potyka się, jedna z jej lasek trafia między lustrzane buty gestapowca i rycerz trupiej głowy jak długi pada w błoto. Podnosi się wściekły, bez monokla, w zachłapanym płaszczu, lecz nie ma na kim wyrzucić zemsty. Staruszkę otoczył już tłum przechodniów niespokojnie dopytujący, czy nie stało się jej nic złego. Ze zaś okupacja była nad Sundem łagodniejsza niż nad Pucką Zatoką, Niemiec zaklął tylko pod nosem i odszedł jak niepyszny. Wtedy zgrzybiała babcia mrugnęła porozumiewawczo do rodaków:

Nie martwcie się o mnie. Wszystko w najlepszym porządku. To był już dzisiaj numer piąty.

Pamiętam powiedzonko Hemingwaya, które aż się prosi, by je tu przyspilić:

„Humor jest rodzajem odwagi”.

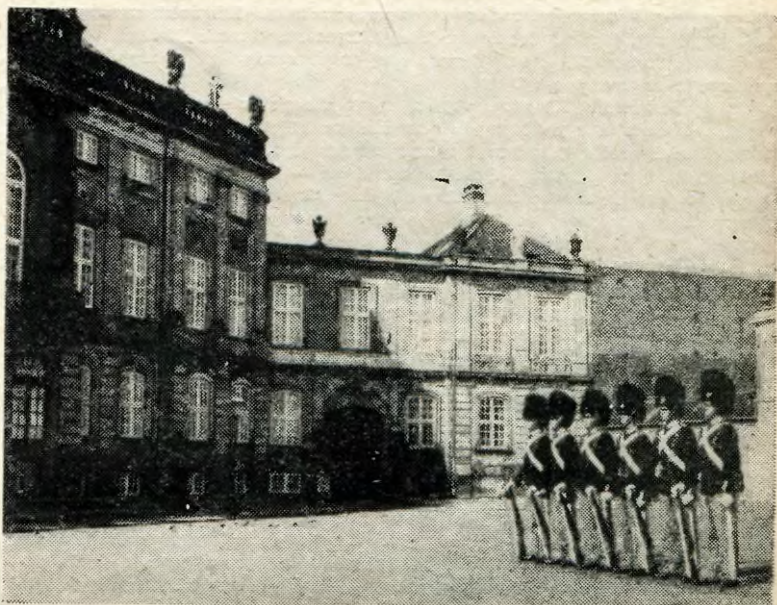
STARY NIEDZWIĘDZ MOCNO SPI...

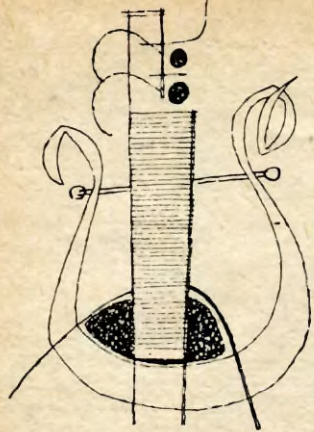
— Jesteśmy małym narodem i pragniemy żyć w zgodzie z całym światem — powtarzają moi mili gospodarze.

Wierzę im bez zastrzeżeń. Czas by bersekierów w niedźwiedziej skórach, półdzikich zdobywców, przed których furią drżała Europa, należało do zamierzchłej przeszłości. Kudłate misie, jedyny przyrodziewek Jutów składających w pierwszym rozdziale „Wiatru od morza” krwawą wizytę mieszkańcom Oksywie, zachowały się wprawdzie, ale jedynie w szcążkowej formie — berymcy.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 10)

FOT. Z. KOSYCARZ





KOMÓRKI DO WYNAJĘCIA

DO-SI

Pewien pan, bardzo, ale to bardzo chciał mieć własny samochód. Ciulał więc i ciulał, tu i ówdzie coś tam dopytywał, wreszcie marzenie stało się ciałem przybierając kształty ratalnie nabytą „Warszawy”. Uradowany przyjeżdża do domu.

— Szczęście ty moje — mówi do niego żona — samochód, rzecz piękna i poniekąd pożyteczna, ale co my z nim zrobimy wtedy, gdy nie będziemy jeździć?

— Ha! — zmarszczył brew samochodowy nowicjusz — właśnie. Może by na strychu?

— Można — żona na to — ale jak? Po schodach nie wjedzie. Może w kawałkach. A później się złoży i już...

— Nie, to na nic. Już wiem — postawimy go w piwnicy — zawyrokował mąż.

— Ano, można, tylko coś mi się widzi, że przez drzwi się nie przecisnie.

— No, a w łazience? Nie da się? — szczęśliwy posiadacz „Warszawy” poważnie był już zmartwiony.

— Na moje oko — nie wlezie! — zawyrokowała żona.

Niby najprościej byłoby zbudować sobie po prostu garaż. Ale nowo upieczony właściciel „Warszawy” nie miał już na to pieniędzy. Wpadł więc na genialny pomysł. Pogadał ze znajomymi — również właścicielami samochodów — i okazało się, że na pięciu — dwóch ma garaże. Zaczęli się więc panowie bawić w komórki do wynajęcia. Jeden wyjeżdża, to drugi zaraz swój wozik garażuje. Wyjedzie drugi, to trzeci już się pcha. Nawet było to

zabawne, nawet panowie owi zamierzali otworzyć prywatnego „Totka” — kto zgadnie, czyj samochód i gdzie będzie stał w poniedziałek, we wtorek, w środę i tak dalej i tak dalej.

„Komórki do wynajęcia” stały się ulubioną zabawą instytucji kulturalnych trójmiasta. Zupełnie jak w przytoczonej powyżej powiastce o samochodziarzach, teatr i opera w jednym stoją domu, hołubiąc przy tym filharmonię i balet, a jak trzeba — to i centralną wojewódzką akademię ku czci. W różnych komórkach owego domu odbywają się różne próby różnych imprez artystycznych. „Boska Aiiiilido” — śpiewa w jednej komóreczce Radames, „Hej, idę w las, piórko mi się migoce” — śpiewają i tańczą baletowe Harnasie, „Skandal, skandal!” — woła gromko pani Dulska w innej komóreczce, a obok grzmi V-ta Beethovena, bo jutro koncert, więc próba.

Szkoły muzyczne — od niższej do wyższej — chcąc pokazać swój artystyczny dorobek na zewnątrz, kłaniają się pięknie dyrekcji Grand Hotelu, która za pewną godziwą opłatą odpala im salę koncertową w dniach i godzinach Grand Hotelowi dogodnych. Często koncerty odbywają się tamże przy miłym dźwięku noży, łyżek i widelców, przy dzwoniących kielichach i sympatycznie brzęczących talerzach. Nie, broń Boże — nie w sali

koncertowej, obok — ale za to odpowiednio głośno.

Sopocki Festiwal Piosenki nazwany tak chyba dlatego, że odbywa się regularnie w Gdańsku, to po prostu wielki spęd narodu w hali Stoczni Gdańskiej. Bardzo tam przyjemnie: ciepło, aż do omdlenia, głośniki (broń w ręku szalonego) albo ryczą nieludzko, albo szmerzą intymnie i nie nie słychać, a manewrujące po terenie stoczni pociągi gwizdają wesolutko — niestety, nie zawsze w tonacji wykonywanej na scenie piosenki.

Jest jeszcze w Gdyni operetka, z własną salą, ale po pierwsze — operetka gra niemal codziennie, po drugie — dysponuje niewielką bardzo widownią. Jest jeszcze Liceum Muzyczne w Gdańsku z doskonałą akustycznie salą koncertową, która po pierwsze — powinna nosić miano „mikrosali”, po drugie — lubi niespodzianki w postaci odpadania na przykład sufitu. A propos: co się właściwie dzieje z tym sufitem w liceum?

Jest jeszcze Średnia Szkoła Muzyczna we Wrzeszczu z piękną salą, zdatną jednak — z uwagi na swe rozmiary — jedynie na imprezy wewnętrzzszkolne.

Wyższa Szkoła Muzyczna w Sopocie — zapominana przez bogów i ludzi — dusi się w ruderze, którą zapewne podziwiają zagraniczni turyści, czytając napis: „Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna”. Wyobrażam sobie, jak muszą się dziwić przybysze na przykład z Holandii, gdy zobaczą szkołę, z której studenci i absolwenci zdobyli na międzynarodowych konkursach właśnie w Holandii medale złote, srebrne, brązowe. Albo mieszkańcy Helsinek — pamiętający naszych złotych i srebrnych medalistów z ostatniego Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, w osobach Jerzego Gonczorowskiego i Tadeusza Prochowskiego — absolwentów sopockiej wyższej uczelni muzycznej.

Czego wreszcie nie ma w naszym ukochanym trójmieście? Kultura kwitnie, festiwal za festiwalem, wykonawcy z całego świata, obserwatorzy, korespondenci przeróżnych radiofonii i czasopism.

Czego nie ma? No właśnie. Nie ma ani jednej przystoitej sali koncertowo-widowiskowej. Dwudziesto — prawie — letnia gospodarka kulturalna Wybrzeża nie zrodziła jej.

Jak cię widzą, tak cię piszą. Nie pomogą zieleńce, kwietniki, kosze do śmieci gęsto rozsiane, nie pomogą barwne neony, jarzeniowe latarnie, kolorowe wystawy. Kulturalne „komórki do wynajęcia” wystawiają nam odpowiednią legitymację.

MAŁA SZKOŁA FILMOWA W WDTL

WDTL organizuje 2-letnie Studium Filmowe, przeznaczone dla instruktorów kół zainteresowań w placówkach kulturalno-oświatowych i realizatorów filmów amatorskich (z sesjami zaocznymi raz w miesiącu). Zajęcia rozpoczęły się 17. I. 64 r. i trwać będą do 31. XII. 1965 r. Lokalizacja Studium — WDTL — Gdańsk ul. Korzenna 33/35. Warunki przyjęcia są następujące: 1. Wykształcenie średnie, 2. Zainteresowanie filmem, 3. Dobra znajomość fotografii, 4. Pożądana umiejętność obsługi projektora, 5. Skierowanie z zakładu pracy.

Celem Studium Filmowego jest uzyskanie przez słuchaczy podstawowych wiadomości z dziedziny filmu amatorskiego, nabycie praktycznych umiejętności realizacji filmu i metodycznego prowadzenia zajęć w kołach filmowych. Przewidywana ilość uczestników — 20 do 30 osób.

Zasadniczo wykładowcą studium będzie Krzysztof Romanowski, absolwent Szkoły Filmowej w Łodzi, operator filmowy WDTL, który zapraszać będzie do współpracy teoretyków i twórców filmowych, specjalistów pokrewnych dziedzin — teatru, muzyki, plastyki.

Ramowy program wykładów I i II roku obejmując propedeutykę filmu i zagadnienia jego realizacji, będzie dzielić się na następujące działy według kolejności ich omawiania:

a) Sztukę filmową (co to jest film, jak powstaje, jego miejsce we współczesnej kulturze, zadania amatorskiego ruchu filmowego); b) Scenariusz; c) Reżyserię; d) Sztukę operatorską (zdjęcia); e) Montaż; f) Dźwięk; g) Metodykę prowadzenia zajęć.

Na program studium składać się będą wykłady teoretyczne i ćwiczenia praktyczne. Poziom wykładów będzie wysoki. Wykładowca Krzysztof Romanowski zakłada, iż postara się prowadzić zajęcia w sposób atrakcyjny, by słuchacze twórczo partycypowali w wykładach i ćwiczeniach, i odzwierciedlali nabywane wiadomości i umiejętności w pracach kontrolnych. Każdorazowe seminarium przewiduje dla uczestników zadania domowe, które odpowiednio sprecyzowane, mają rozwijać inwencję słuchaczy w popularyzacji i realizacji filmu.

W miesiącach wakacyjnych I roku, w lipcu i sierpniu odbędą się 2-dniowe zajęcia praktyczne, poświęcone I realizacji filmu na taśmie odwracalnej 8 mm. W czasie ferii zimowych w grudniu 1964 r. projektuje się dla uczestników tygodniowy obóz praktyczny, zakończony egzaminem. Podczas wakacji letnich II roku — zorganizowana zostanie wycieczka do wytwórni filmowej w Warszawie lub Łodzi.

W ramach programu projektuje się pokazy filmów amatorskich, wspólne wycieczki do kin na filmy fabularne (połączone z dyskusją), celem dokonywania analiz oglądanych filmów. Zorganizowana będzie również wycieczka do laboratorium fotoplastyki w Sopocie.

Studium Filmowe zakończy się w grudniu 1965 r. powtórką materiału, obozem tygodniowym i egzaminem teoretyczno-praktycznym.

Jeśli słuchacze sumiennie będą uczestniczyć w seminariach i pracowniach wykonywać polecane im zadania, powinni wynieść dużo korzyści, gdyż studium organizowane przez WDTL ma charakter małej „Szkoły Filmowej”, mającej na celu wszechstronne przygotowanie uczestnika do prowadzenia koła filmowego na swym terenie. Słuchacze studium nabędą teoretyczne i praktyczne wiadomości o opracowywaniu i realizacji różnego typu filmów: fabularnego, dokumentalnego, oświatowego, popularnonaukowego, animowanego. Dowiedzą się, jak pisze się i realizuje scenariusz, scenopis filmowy. Przede wszystkim zaś zorientują się w metodyce prowadzenia zajęć w amatorskich klubach filmowych.

Dzięki egzaminowi przed komisją państwową nabędą uprawnienia do prowadzenia kół filmowych w placówkach k.o., prawo posługiwania się sprzętem filmowym i możliwości realizacji filmów na zamówienia instytucji czy na własny użytek koła.

WDTL prowadzi też kursy — kinooperatorski i fotograficzny, na które przyjmuje również zgłoszenia.

MGR MARIA CHOLEWCZYŃSKA-WILAMOWSKA



TEATR CZY KONCERT?

JERZY RULEWSKI

Krytyk, chociaż demokrat, w teatrze zawsze jest persona non grata. Tak bym podsumował liczne skargi i zażalenia wysuwane (głośno i po cichu) pod adresem krytyków po premierze „Don Carlosa” w Państwowej Operze Bałtyckiej. Nie mam zamiaru w niniejszym felietonie brać w obronę krytyków, ale też nie mogę przyznać racji stronie „pokrzywdzonej”. Teraz, kiedy „ucichła wrzawa i tumult”, a rany się zblizniły (premiera 29.XI.1963 r.), nie mogę być chyba poświadczony o złośliwość czy stronniczość.

Powiem szczerze: muzycznie i wokalnie spektakl usatysfakcjonował mnie w zupełności. Jednakże opera jest rodzajem teatru, starym bo starym, ale ciągle będącym jeszcze w pretensjach, ciągle chcącym się podobać. I właśnie o tej „teatralności” w operze chciałbym dzisiaj pomówić, a jako przykład i pretekst niech mi posłuży „Zbołały” DON CARLOS Giuseppe Verdiego.

Po pierwszych dwóch obrazach przestałem interesować się tym, co działo się na scenie: słuchając muzyki i śpiewu oddałem się niewesołemu rozważaniu o temat aktorstwa w teatrach operowych. Twierdzenie, że do opery przychodzimy tylko po to, aby posłuchać pięknych głosów i dobrze brzmiącej orkiestry jest — delikatnie mówiąc — śmieszne i nie logiczne. Jeżeli bowiem przychodzimy do opery dla śpiewu i muzyki, to po co uruchamiacie panowie całą skomplikowaną machinę teatralną? Dlaczego nie postawicie śpiewaków w rzędki, w strojach cywilnych, w neutralnym świetle i tak nie będziecie od śpiewać im arii i duetów?

Czy mam pretensje za taki stan rzeczy? Właśnie rzędek, zawsze twarzą do dyrygenta, w pozycji stojącej, albo klęczącej) do aktorów-śpiewaków? Nie! Aktorzy są posłuszni woli reżysera, obserwo wałem to na „Don Carlosie”. I może aż za posłuszni. Nie mogłem się nadziwić, jak wdzięcznie zamierali w pozach wymyślonych i narzuconych im przez p. Józefa Grubowskiego. Ale sztuka teatralna nie polega tylko i wyłącznie na tworzeniu żywych obrazów. Owszem, żywy obraz może być jednym z efektów widowiska, gdy jednak staje się jego regułą, to źle.

Aktora operowego obowiązuje także kontakt z partnerem, podobnie jak aktor dramatu musi on reagować na kwestie partnera. Reakcje te muszą się uzewnętrzniać w mimice, w sposobie poruszania się po scenie i w głosie. Trudno jednak reagować na kwestie partnera, jeżeli ten (trzeba czy nie trzeba) oddalony jest o sześć metrów. Klasycznym

przykładem grania na odległość w omawianym spektaklu są wszystkie sceny Carlosa z Posą. Człowiek patrzy na to ateatralne ustawienie i miałby ochotę zawołać: Panowie! Podejdźcie do siebie bliżej! Przecież mówicie o jednym!

Współczesna reżyseria nie polega bowiem na wskazywaniu aktorowi wejść i zejść i na ustawianiu go w malowniczej pozie. Teatr statyczny jest na ogół teatrem nudnym. Rozumiem, że teatr operowy ma swoje prawa, że prawa te są nieco odmienne od praw teatru dramatycznego. Ze reżyser nie może ich zlekceważyć. Ale nie może też ani na moment zapomnieć, że komponuje widowisko teatralne, że na scenie musi się coś dziać. Muszą być śpięcia, musi być konflikt, także w działaniu. Skoro „wywlekam i przypominam” same truizmy, to niech mi wolno będzie przypominąć jeszcze jeden, o którym pono wszyscy wszystko wiedzą, lecz realizować go nie chcą.

Aktorów operowych trzeba uczyć także sztuki aktorskiej, tak jak się uczy adeptów dramatu. Nie łudźmy się, sporadyczne wykłady sytuacji nie zmieniają. Tu trzeba pracy, pracy od podstaw. Trafiałem akurat na występ gościnny śpiewaka-aktora z Warny. Technika gry przytłaczała cały zespół. Wniosek z tego, że można od aktorów teatrów muzycznych wymagać lepszego opanowania rzemiosła, większej elastyczności w grze, większej swobody na scenie. Tylko przy spełnieniu tych warunków operowy DON CARLOS będzie widowiskiem pod każdym względem ciekawym. Ze sceny przestanie wiać nudą, widz wciągnie się w akcję i nie będzie miał wrażenia, że jest na koncercie symfonicznym.

Lubię chodzić do opery, imponuje mi rozmach tych widowisk. To jest dopiero „teatr ogromny”. Z satysfakcją przyglądam się efektom, które powstają dzięki aktorowi, muzyce i światłu. Przykro mi jednak, gdy widzę zwykłą nieporadność albo holdowanie przestarzałym szablonom. Czasem wydaje mi się, że twórcy widowiska operowego liczą na mniejszą inteligencję i mniejszą wrażliwość widza. Jest to bardzo błędne założenie, bo widz, który przychodzi do opery, chodzi też na dramat. Ma więc skalę porównawczą, jeżeli idzie o możliwości inscenizacji. W operach trzeba skończyć z reżyserią operową, tak jak skończono z szablonem XIX-wiecznym scenografii. Aktorów, prócz śpiewu, trzeba uczyć w sposób zorganizowany i poważny rzemiosła scenicznego, bo tylko wtedy przestanie wiać ze scen operowych tandetą. (Ciekaw je-

stem jak ta sprawa przedstawia się w tutejszej PWSM?). Trudno powiedzieć o „Don Carlosie”, że jest przedstawieniem niedobrym. Jest to właściwie koncert symfoniczny z udziałem solistów i chórów, ubranych dla urozmaicenia w kostiumy przypominające obrazy Angelo Bronzino i Diego da Silva y Velaskueza. A maniera ustawiania elementów widowiska pod pałeczkę dyrygenta jest irytująca. Wiem, że dyrygent jest osobą nader ważną, ale na Boga nie wszystko przecież od niego zależy. Czy poruszyłem wszystkie „zwichrowane sprężyny” realizacji jednej z najbardziej wartościowych oper Verdiego? Na pewno nie. Poruszyłem zaledwie jedną, tę najbardziej rzucającą się w oczy — sprężynę teatralną, na której opiera się połowa sukcesu każdego przedstawienia operowego. Wydaje mi się, że mogłaby ona sprawniej funkcjonować, gdyby realizatorzy przestudiowali także, prócz libretta i partytury, schillerowski oryginał. Powyższe uwagi napisałem w imię przyjaźni dla teatru operowego i wierzę, że tym razem intencje nie zostaną zafałszowane. A cały felieton pozostanie jedynie tym, czym jest: rozmową o rzemiośle z zaproszeniem do dyskusji.

KRONIKA TEATRALNA

W styczniu Teatr „Wybrzeże” wystąpił z premierą „Andorrey” Maxa Frischa. Jest to trzecia z kolei sztuka autora „Stillera” wystawiona w ostatnich latach na polskich scenach. Jedną z nich (Santa Cruz) drukował „Dialog” w roku 1957 (zeszyt nr 4). „Andorrey” grał w Warszawie Teatr Ateneum, a „Nowego Don Juana” czyli umiłowanie geometrii Teatr Nowy w Poznaniu. Autorami wybrzeżowej realizacji są: K. Braun (reżyser), J. Pożakowska (scenograf), J. Sieradzinski (Andrzej), M. Głowacka (Barblin) i inni. Przekład zresztą kiepski, Ireney Krzywickiej i Jana Gawarewicz. Frisch, drugi po Dürrenmacie mistrz współczesnej dramaturgii, porusza w „Andorze” ciągle jeszcze (niestety!) aktualny problem rasizmu.

Tadeusz Madeja, z zawodu aktor, z powołania fotograf-amator, obiecał nam w zeszłym roku fotoreportaż pt. „Za kulisami teatru”. Mam nadzieję, że w roku 1964 Redakcja i Czytelnicy ujrzą ów obiecany reportaż „własnymi oczami”. Chociaż, jeśli wierzyć osobom blisko zaprzyjaźnionym z Madeją, pono łatwiej zobaczyć własne uszy bez pomocy lustra niż na rozkładówce „Liter” obiecany fotoreportaż.

Jeszcze jednym dowodem na to, że sztuka teatralna czuje się ostatnio trochę nieswojo, jest nadmiar prelekcji, dyskusji, spotkań i odczytów w GTPS na temat teatru. I tu przypomina mi się piosenka, którą harcerze śpiewają przy ognisku: „Stał się cud pewnego razu... Oj!... Dział przemówił do obrazu... Oj!... A ten obraz ani słowem... Oj!... Taka była ich rozmowa — Oj, oj, oj, oj!”.

EAST.

FOT. EDMUND ZDANOWSKI



Co dzień w południe na rombooidalnym placu między czterema stalowymi pałacami, które w stulecie rokoka architektki Eigred i Turach zaprojektowali dla czterech arystokratów, nie przeczuwając, że w pół wieku później, po pożarze Christiansborgu, zostanie do tych budynków przeniesiona królewska rezydencja, gromadzi się tłum ciekawskich, utrzymywany w ryzach przez jowialnych policjantów. Z uderzeniem dwunastej zaczyna się widowisko. Przypom-

dają się bardziej familiarnie niż w makabrycznym filmie „Flagarna”. Przekonałem się o tym 4 października na własnej skórze.

W samym sercu zgiełkowej stolicy, na Slotsholmen, u stóp potężnego Christiansbergu, zaskakuje spokojem Ogród Królewskiej Biblioteki wciśnięty między spatynowane historią budowle: Rikssarkivet, arsenal i Proviangarden — dom zaopatrzenia floty. Bluszcz i winorośl oplatają sędziwy mur dziedzińca ukrywa dotąd żelazne pierścienie do cumowania okrętów. Niedgdy był tu wojenny port. Potem kanał zasypano, zostawiając jedynie sadzawkę pośrodku trawnika. Zeglują po niej

TOUR DE COPENHAGUE

niało mi ono „Paradę cynowych żołnierzy”, ulubioną płytę mego dzieciństwa. Gotów byłem przysiąc, że w takt nagranej na niej melodii maszerowały ołowiane żołnierzyki z bajek Hosi Andersena. Zresztą sympatia do dzielnych wojaków z cyny bynajmniej w Kopenhadze nie zwiędła. Pełno ich na wystawach sklepów z zabawkami, na drugim piętrze Toshuseum, całe ich pułki znieruchomiały za szybami witrzyn w kulminacyjnych momentach rozmaitych kampanii historycznych. Równie nieruchomo sterczą przy budkach sztyldwachów, strzegąc pałaców monarchicznej rodziny, ale...

Podczas południowej zmiany warty zabawki ożywają jak na zaklęcie. Młodzi gwardziści w niebieskich spodniach z lampasami, granatowych kurtkach, białych rękawiczkach i lederwerkach miarowym krokiem wychodzą w ogromnych czapach niedźwiedzych z bramy odwachu. Oficer błyska obnażoną klingą. pałasza. Szczękają zabytkowe karabinki, gromko padają komendy: — Formuj się! — Baczność, prezentuj broń! — Do nogi broń!...

Fotograficzne i filmowe aparaty turystów trzaskają seriami jak ciekawym. Nieustraszone zuchy nie zwracają uwagi na salwy szybkostrzelnych obiektywów. W morderczym ogniu kamer musztrują się spokojnie, małymi oddziałkami maszerują wzdłuż i w poprzek placu, defilują dokoła Fryderyka V, który od dwustu lat z wysokości postumentu króluje w centralnym punkcie Amalienborgu i zmieniają, zachowując arcykomplikowany ceremonial, kółców na posterunkach. Zachwyceni, rozbawieni widzowie obserwują ich gesty, przemarsze zwroty z zapartym tchem. Jeżeli zaś komu z globtroterów wyrwie się okrzyk podziwu, zaraz któryś z tubylców przyłoży palec do ust.

— Cicho, sza — przestrzeże z uśmiechem entuzjastę. — Stary niedźwiedź mocno śpi. Nie budźcie niedźwiedzia drzemającego na głowach królewskich gwardzistów.

BAR WZIĘTY

W gablotach skandynawskich kin straszą fotosy masakry dokonanej na ludziach przez upiorną ptaki Hitchcocka. W Danii jednak stosunki między ludzkim a ptasim społeczeństwem ukła-

wodne ptactwo. Przyjemnie odpoczywać w tym zaciszu wśród jesiennych drzew, toteż na ławkach zażywają „relaksu” studenci z bródkami i bez bródek, zmordowani śpieniem nad Starą Eddą, księgą Flato, islandzkimi rękopisami biblioteki, której gmach wzniesiony w początkach naszego wieku, zamyka parkowy czworokąt.

I ja zaszedłem tutaj, by zjeść imienninowe śniadanie. Ledwie siadłem i rozwinąłem z papieru apetyczne „smorbrody”, natychmiast wróble, które do tej pory próbowały bezskutecznie wciągnąć w ćwierkliwą dysputę Sorena Kierkegarda siedzącego w pobliżu na cokole, porzuciły filozofa zastępnego w brzoje i melancholii. Bez śladu obawy obiadły moje barki, ręce, kolana. — Dziękujemy za to, prosimy o więcej — zaczęły niecierpliwie jęczać w ptasim esperanto dzieląc się ze mną wspaniałe „ilustrowanymi” szynką, jajkami, serem i Bóg wie czym jeszcze poematami duńskiej gastronomii.

— Zostawcie choć trochę dla mnie — próbowałem nieśmiało oponować, ale nie dopuścili mnie do głosu.

Po chwili zresztą skrzydlata armia oblegała mnie już ze wszystkich stron. Oszołomił mnie ćwierkot, trzępota piór, gruchanie. Z rynien i okapów nadleciały gołębie. Z sadzawki wygramoliły się kaczki i dalejze mnie z natarczywością szarpać za polę płaszcza:

— Kwak, kwak, czyśmy tu od macochy?

Podobne ptasie obłędnie widziałem jedynie na najpiękniejszym z asyjskich fresków Giotto: „Kazaniu św. Franciszka do ptaków”. Ponieważ zaś opisana przystępnie spotkała mnie w dzień mego Patrona, nie potrafiłem ani odpędzić natrętów, ani prawić im morałów. Gdy z mego śniadania zostało wspomnienie, rzekłem po prostu z determinacją imci pana pułkownika Kuszla: — Bar wzięty.

Rzuciłem papier do kosza i odszedłem, czując, że ptaki więcej mi powiedziały o mieszkańcach Kopenhagi, niż oni sami. Niech mnie gęś kopnie, jeśli choć o włos minąłem się z prawdą w tej relacji.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

MIASTO

Mówi technik Andrzej Grabowski, kierownik budowy osiedla mieszkaniowego „Milenium”:

— Do Kołobrzegu przybyliśmy w trójkę — Stefan Ruszkowski Tadeusz Nowak i ja. Był to rok 1956 i chociaż przyjechalismy z budowy odcieję od świata i ludzi, gdzieś na peryferiach województwa szczecińskiego, widok miasta wstrząsnął nami do głębi. Przypominały nam się wtedy najbardziej ponure kroniki filmowe z pierwszych dni po wyzwoleniu Warszawy. Brnęliśmy w milczeniu przez nieoświetlone, opustoszałe i gruzem zawalone ulice na pierwszy nasz kołobrzescki nocleg i chyba żaden z nas nie przypuszczał nawet, że przeżyjemy tutaj, aż osiem lat. Rok później opublikowana została uchwała Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów w sprawie odbudowy i rozbudowy Kołobrzegu. Kiedy rozpoczęły się roboty budowlane, w mig poczuł się kołobrzeczaninami. Rozpocząłem je, jako technik na pierwszym budowie mieszkaniowej, na „historycznym” już dziś osiedlu Kniewskiego, przy dworcu kolejowym. Potem byłem samodzielnym kierownikiem budowy na osiedlu Walki Młodych. Później budowałem żłobek przy ulicy Radomskiej. Teraz rozpoczynam wznoszenie kolejnego osiedla mieszkaniowego: siedem bloków mieszkalnych liczących łącznie około 900 izb. Cztery wraz z kotłownią w tym roku oddam do użytku.

Losy moich kolegów? Stefan Ruszkowski jest kierownikiem budowy zakładu przyrodoleczniczego dla uzdrowiska. Budowa przeciąga się, inwestor podjął decyzję o zmianie pierwotnie projektowanych urządzeń na bardziej nowoczesne. Konieczne są więc pewne przeróbki. Natomiast Tadeusz Nowak został kierownikiem nauki zawodu w szkole przedsiębiorstwa.

Czasami napada mnie chęć opuszczenia Kołobrzegu. Wiadomo — osiem lat, a warunki ciągle trudne. Brak doświadczonych fachowców, nieustanna płynność kadr, zwłaszcza robotników niewykwalifikowanych. Nierzadko spadają na człowieka obowiązki — wyda się początkowo — ponad siły. Kiedy jednak przyjdzie co do czego, to dopiero okazuje się, jak głęboko wrósł człowiek w kołobrzescką glebę. Niby — jestem kawalerem — spakować kuferek i w drogę. A jednak...

Mówi Zdzisław Cieślukowski, lekarz, dyrektor sanatorium „Meduza”:

W Kołobrzegu jestem od kwietnia 1961 roku. Przyjechałem świeżo po studiach i dopiero tutaj ukończyłem staż rozpoczęty w Warszawie. Powód osiedlenia się właśnie tutaj? Pierwszy był chyba... mój brat, który pracował, jako inżynier budowlany i wiele opowiadał mi o rozmachu, z jakim Kołobrzeg odbudowuje się i rozbudowuje. Odchodząc do wojska pozostawił mi mieszkanie.

Drugim powodem była niewątpliwie chęć podjęcia pracy w lecznictwie uzdrowiskowym. O tym, że nadspodziewanie szybko stałem się kołobrzesckim „patriotą”, zadecydowało samo miasto. Postępy w jego odbudowie i rozbudowie. Przecież — spoglądając krytycznym okiem na dzisiejszy Kołobrzeg — nie zapomnijmy, że jest to miasto liczące dopiero 20 tysięcy mieszkańców. Nie bez znaczenia był również szybki awans zawodowy i społeczny, praktycznie uzależniony tutaj, li tylko od osobistych uzdolnień i chęci do pracy. W uzdrowisku, a także w Szpitalu Powiatowym (gdzie robię właśnie specjalizację) panuje atmosfera nadzwyczaj sprzyjająca rozwojowi młodej kadry lekarskiej.

Prawda, byli tutaj i tacy lekarze — przeważnie zresztą starsi wiekiem i... poglądami — którzy mieli na oku wyłącznie możliwości przedkiego dorobienia się. Wydawało im się, że to przedwojenna Krynica, gdzie zbijało się fortunę spekulując na ludzkim snobizmie. Szybko wykruszyli się i dzisiaj na miejscu pozostali jedynie ci, którzy postawili na kartę awansu życiowego.

Mój dzień pracy kończy się o godzinie 20...

Mówi Janina Pawliszcze, lekarz z Cukrzycowego Ośrodka Naukowo-Badawczego uzdrowiska:

„Znalazłam się w Kołobrzegu dwa lata temu jako stażystka. Przynam lojalnie, że przyciągnęła mnie tutaj możliwość uzyskania mieszkania. Mąż jest inżynierem, pracuje w miejscowym przedsiębiorstwie wodno-melioracyjnym i uławił się to z nim przyjechałam. Początkowo byłam nawet skłonna uważać, że dla mieszkania łamię sobie przyszłość. Marzeniem moim było podjęcie specjalizacji w dziedzinie neurologii i wiedziałam z góry, że w Kołobrzegu będzie to — przynajmniej przez kilka lat — niemożliwe. Szczególne opory wywoływała u mnie konieczność zajęcia się cukrzyką. Wszystko złożyło się wbrew mojej woli i protestom, dzisiaj natomiast moje nadzieje na przyszłość wiąże z ośrodkiem. Okazuje się, że można przelać uprzedzenia. Po niespełna dwuletniej praktyce, dużo skorzystałam. Szczególnie z komieszcznych wizyt naszego konsultanta naukowego, docenta dr med. Artura Czyżyka, kierownika III Kliniki Chorób Wewnętrznych Akademii Lekarskiej w Warszawie. Uważam cukrzykę (proszę się nie śmiać) za jednostkę chorobową, zasługującą na wyjątkową uwagę. Szczególnie zaś cieszy mnie rozwój naszego ośrodka. Rozpocznaliśmy od 26 łóżek, a dziś dysponujemy 120 miejscami. Z początku nasz konsultant badał bez wyjątku każdy leczony tutaj przypadek, obecnie nabraliśmy na tyle doświadczenia, że przedstawiamy mu tylko przypadki najcięższe, bądź najbardziej ciekawe.

Sam Kołobrzeg? W ciągu zaledwie dwóch lat — uszak tyle czasu tutaj mieszkam — zmienił się zdecydowanie na lepsze. To, bądź co bądź, imponujące — gdy przyjechałam do Kołobrzegu, tu i ówdzie sterczały stare wypalone budynki, a dziś... ich miejscu stoja już nowe, śliczne bloki mieszkalne. No i morze...

Mówi mgr inż. Janusz Kozakiewicz, kierownik budowy szkoły Tysiąclecia:

Przyjechałem tutaj, dostownie na drugi dzień po zdaniu egzaminu dyplomowego na Politechnice Łódzkiej. Datę tę będę długo pamiętał. Był to dzień 26 czerwca 1962 roku. Nie chciałem tracić czasu na wakacje, po prostu gnała mnie świadomość, że idę w nowe, ciekawe środowisko, do miasta dającego szansę szybkiego wypróbowania sił. Natychmiast rozpocząłem staż i oto od 1 sierpnia ubiegłego roku jestem kierownikiem pierwszej w życiu samodzielnej budowy. Co prawda chwilami włos mi się na głowie jeży, kiedy spoglądam na dokumentację. Diabliście skomplikowana budowa, no i... prestiżowa. Nie tylko dlatego, że pierwsza w życiu. Wiadomo — szkoła Tysiąclecia. I to fundowana przez pracowników Urzędu Rady Ministrów.

Miasto z miejsca przypadło mi do gustu i jeśli je kiedykolwiek opuszczę to nastąpi to nie tak prędko. Zresztą... za kilka dni otrzymuję tutaj mieszkanie. Oby tylko Kołobrzeg szybciej przybierał wielkomiejski wygląd, a szczególnie jego nadmorska, reprezentacyjna dzielnicą uzdrowiskową...

OSTREGO STARTU

JAN POPRAWSKI

Już te cztery wypowiedzi zaczerpnięte z reporterskiego notatnika starczą dla charakterystyki dzisiejszego Kołobrzegu i jego mieszkańców. Przynajmniej tej grupy, która do nieznanego sobie miasta przybyła zachęcona możliwościami szybkiego podjęcia samodzielnej, odpowiedzialnej pracy. Ludzie ci mają możliwość urządzenia się: w Kołobrzegu corocznie oddaje się do użytku 700—900 nowych izb mieszkalnych z przeznaczeniem głównie dla młodych fachowców. Ta grupa decyduje zresztą o teraźniejszości i o przyszłości Kołobrzegu.

Wbrew pozorom, warunki owego wymarzonego „ostrego startu” wcale nie są „cieplarniane”. Wszak mieszkanie, możliwość wyższych zarobków (oczywiście — kosztem większego wysiłku), a nawet sprzyjająca rozwojowi młodej kadry atmosfera w większości kołobrzeskich przedsiębiorstw, to jeszcze nie wszystko. Każdy musi przechodzić tutaj bezkompromisową próbę własnych sił, zamierzeń i ambicji z postawionymi mu wymogami, przy czym próba bywa tym surowsza — to zrozumiałe — im bardziej samodzielne i odpowiedzialne osiąga się stanowisko. Rysem charakterystycznym „ostrego startu” w kołobrzskim środowisku (właśnie dlatego taki start jest w ogóle możliwy) jest bowiem fakt, że tutaj nie ma kto prowadzić „za rączkę” młodego zapaleńca. Na każdym 10 lekarzy, inżynierów i techników budownictwa oraz przedstawicieli innych specjalności (wyjąwszy rybołówstwo) 8—9 pracuje w zawodzie nie dłużej, niż 4, a już najwyżej 5 lat.

Młoda jest więc ta kołobrzeska inteligencja. Młoda, rekrutująca się spośród ludzi odważnych, zdecydowanych — bo przecież tylko tacy dla wypróbowania swoich sił mogli Warszawę, Kraków, Łódź, Poznań czy Gdańsk zamienić na „jakiś tam” Kołobrzeg. I optymistyczna. Nawet bardzo optymistyczna.

Pytałem czy w Kołobrzegu nie uważa się, że nadszedł kres szybkiej odbudowy i rozbudowy miasta? „Panie — obruszył się na to inżynier budowlany — niech pan policzy najpierw rozpoczynające się budowy”. „Może faktycznie — dodał inny mój rozmówca, ekonomista — jest ich, tych budów, nieco mniej, niż w latach ubiegłych, ale przecież mamy wiele obiektów, które trzeba najpierw ukończyć. Chociażby taki hotel, zakład przyrodolecznicy... Wystarczy chyba wstydu za salę widowiskową, którą odbudowywano się dziesięć lat z okładem”.

Nie chciałem poddać się tym argumentom i zapytałem o rozpoczętą i przerwaną, w tak zwanym etapie zerowym, budowę centralnego ośrodka leczniczo-wypoczynkowego CRZZ. Projekt tego reprezentacyjnego i nowoczesnego obiektu wyposażonego w basen z podgrzewaną wodą morską oraz plażę ogrzewaną promieniami podczerwonymi mocno podniecił wyobraźnię kołobrzeżan. „Co się odwleczcie, to nie ucieczcie” — usłyszałem w odpowiedzi. — Dobrze byłoby dysponować takim obiektem już w pierwszych latach przyszłej pięcioletki, ale skoro są pilniejsze potrzeby, to mówi się trudno. Jeśli pan jednak jest taki uparty, to proszę przyjąć do wiadomości, że wkrótce rozpocznie się budowę obiektów, o których jeszcze kilka lat temu nie było mowy. A więc szkołę szyprow, dworzec morski. Niech pan pamięta, że przystąpiono do rozbudowy portu handlowego i bazy rybackiej.

Z mniejszym przekonaniem poruszyłem jeszcze sprawę przewleknięcia się budowy pierwszego zakładu przyrodoleczniczego uzdrowiska. Odpowiedział mi lekarz: „Istotnie sytuacja była tragiczna. Po prostu nie byliśmy w stanie zapewnić kuracjom niezbędnemu minimum zabiegów. Udało nam się jednak do takich rozmiarów rozbudować bazę zabiegową w budynkach sanatorijskich, że w tej chwili — zupełnie bez szkody dla kuracjuszy — bardziej może zależy nam na nowoczesności wyposażenia zakładu przyrodoleczniczego, niż na terminie jego uruchomienia”.

Nie pozostało mi nic innego, jak... „złożyć broń” i zgodzić się z opinią wyrażoną m. in. przez I sekretarza KP PZPR Jana Barczyka oraz przez przewodniczącego Prezydium PRN, że na miejscowej młodej inteligencji można polegać, że można na niej spokojnie budować przyszłość Kołobrzegu i jego mieszkańców.

* * *

Jest jednak pewna, łatwo zresztą dostrzegalna słabość w życiu dzisiejszego Kołobrzegu i jego młodych obywateli. Oddajmy jeszcze raz głos naszym rozmówcom:

Mgr inż. Janusz Kozakiewicz: „Cienie życia Kołobrzegu? Mizerne, z dużymi oporami rozwijające się życie kulturalne. Jedyna sala widowiskowa, mająca zresztą służyć i filmowi i teatrowi oraz prowizoryczne kino — to właściwie wszystko. Z biedą wystarcza w zimie a przecież w lecie liczba amatorów rozrywki co najmniej podwaja się. To samo można powiedzieć o sporcie...”

Lekarka Janina Pawliszcze: „Niestety, nie ma tutaj nawet przyzwoitego kina. Nowa sala widowiskowa? Cóż, skoro do tej pory nic się w niej godnego uwagi nie dzieje...”

Lekarz Zdzisław Cieślukowski: „Mój dzień pracy kończy się nie wcześniej, jak o godzinie 20. Pragnąłbym ten niezmiernie wąziutki margines wolnego czasu spędzić w kręgu zainteresowań dalekich od medycyny. Niestety, trudno na miejscu o jakąkolwiek rozrywkę i dlatego teatralno-koncertowe zaległości w miarę możliwości odrabiam przy okazji służbowych wyjazdów. Jest w Kołobrzegu kilka klubów środowiskowych, ale placówki te ledwie wegetują. Było kilka prób zbliżenia poszczególnych grup i środowisk bodające na płaszczyźnie towarzyskiej, ale skończyły się one brydżem, lub zawodowymi ploteczkami...”

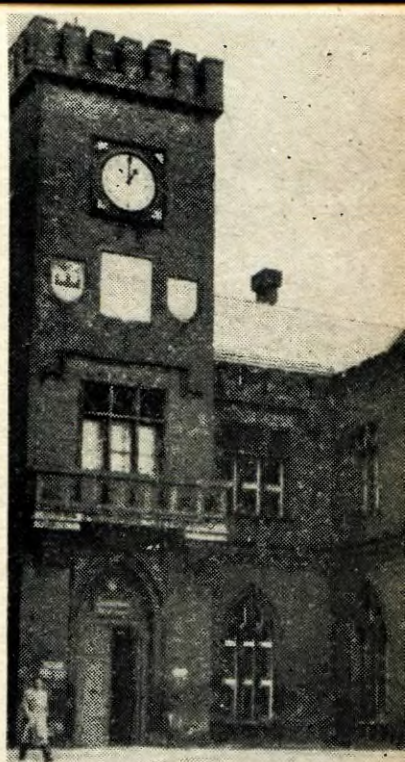
Technik Andrzej Grabowski: „Najbardziej odczuwa się brak zorganizowanego życia poza zakładem pracy. Poszczególne środowiska inteligencji zamykają się w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie”. I nie widać prób przełamania tego zastoju...”

Nie ma wątpliwości co do tego, o jaką słabość chodzi. Potwierdzają to zresztą fakty. Chociażby takie, jak „uświerknienie” tak niegdyś obiecującego poczynającego sobie Towarzystwa Miłośników Kołobrzegu, jak „niezauważenie” przez inteligencję (także przez lekarzy!) zorganizowanego z inicjatywy ZZ Pracowników Służby Zdrowia studium kulturalnego, obejmującego cykliczne i ciekawe ilustrowane prelekcje na temat plastyki, literatury, teatru, filmu i muzyki.

Albo taki młodzieżowy klub „Adabar”. Nie tak dawno kołobrzescy działacze młodzieżowi twierdzili, że jedyną i wyłączną przeszkodą stojącą im na drodze do zorganizowania życia kulturalnego jest brak pomieszczeń dla klubu. Dziś klub taki znalazł locum w zabytkowych piwnicach kołobrzeskiego ratusza. I... stał się „katakumbami” dla 15-latków, ómiących papierosy i śmiertelnie nudzących się (taka podobno obowiązuje moda) przy akompaniamencie podejrzanego jakości „mocnego uderzenia”.

Młoda inteligencja zdecydowanie odciała się od „Adabara”. Sama jednak pozostaje bierna.

Dlaczego tak się dzieje? Jedni powiadają: nadmierne zaabsorbowanie obowiązkami zawodowymi. Niewątpliwie, jest w tym cząstka prawdy. Ale tylko cząstka, ponieważ nikt z kolei nie twierdzi, jakoby na zaspokojenie potrzeb kulturalnych nie starcza-



Ratusz w Kołobrzegu

ło mu czasu. Dla przykładu, Zdzisław Cieślukowski, właśnie tak narzekający na „niezmiernie wąziutki margines wolnego czasu”, zdążył w czasie krótkich trzech lat tak rozkręcić życie organizacji ZMS w uzdrowisku, że dziś nie potrzeba tam „nakręcania sprężyny”. Równocześnie on sam zdolał ukończyć wydział etyczny — religioznawczy WUML, nie zaniedbując także swoich licznych funkcji społecznych.

Inni powiadają: młode środowisko, dopiero poznaje się. I w tym jest chyba cząstka prawdy, ale również tylko cząstka. Z reguły bowiem, ci sami rozmówcy przyznają, że podejmowane próby zbliżenia, chociażby na gruncie towarzyskim, niemal zawsze spalały na panewce, jeżeli w grę nie wchodził... „brydż, lub zawodowe ploteczki”.

Zgadając się z postępowaniem dwóch wymienionych przyczyn „atomizujących” młode kołobrzescie środowisko inteligencje, trzeba wszakże dostrzec i trzecią, najgroźniejszą. Jest nią brak szerszych zainteresowań kulturalnych wśród sporej, niestety, części miejscowej inteligencji. Brak zainteresowań rzędu wyższego, niż problemy zawodowe, niż kwestia zapewnienia sobie i rodzinie wymarzonego standardu życiowego, niż rozrywka pojmowana jak najbardziej dosłownie. Zainteresowań takich nie zrodziło w niej, jak widać, środowisko z lat szkolnych i studenckich. Nie wyzwala ich również obecne otoczenie, w którym — jeżeli mamy być szczerzy — na człowieka pragnącego dyskutować o poezji, lub malarstwie, albo (co gorsze!) tworzyć samemu, często spogląda się, jak na dziwaka. Zwłaszcza, gdy człowiek ten jest „na stanowisku”.

Oto problem. „Panta rei” — młode środowisko kołobrzeskich inteligencji również.

Nie mamy dotąd obowiązujących wyobrażeń - stereotypów, według których określilibyśmy ludzi nauki zajmujących się sprawami morza. Postać marynarza kojarzy nam się z sylwetką tęgiego i brodatego matrosa, znamy kapitana-odkrywcę a nurk przychodzi nam na myśl księżycową istotę zakutą w szczelny skafander. Naukowiec, w dodatku oceanolog, nie wywołuje żadnych skojarzeń. Po prostu nie egzystuje w naszej głowie. Nic dziwnego więc, iż niezbyt dawno prof. Deacon, dyrektor Instytutu Oceanologicznego w Londynie, wprowadził świat w zdumienie stwierdzeniem oczywistej prawdy, że lepiej znamy ze zdjęć odwrotną stronę Księżyca, niż dno oceanu. Ale żeby z postacią oceanologa łączyć problemy przyszłości ludzkiego gatunku? Zakrawa to na fantazję. A jednak tak właśnie jest.



adwokat morskich głębin

Od siedemnastu lat studenci Wydziału Budownictwa Wodnego Politechniki Gdańskiej znają starszego pana, którego również często można spotkać w Sopotcie. Ów pan jest delegatem rządu polskiego w Międzynarodowej Komisji Badań Morza UNESCO, która obrała sobie za siedzibę Paryż. Jest także członkiem Rady Naukowej Instytutu Budownictwa Wodnego Polskiej Akademii Nauk i Instytutu Morskiego Ministerstwa Żeglug, sekretarzem polskiego Komitetu Badań Morza PAN i kierownikiem działu Oceanografii w Instytucie Geofizyki PAN p.n. Stacja Morska w Sopocie. Dwukrotnie odznaczony był złotym krzyżem zasługi a w 1954 roku otrzymał order „Polonia Restituta”. Sporo miejsca zajęłyby pozostałe tytuły i godności. Drobniejszych prac naukowych starszy pan nie potrafi sam zliczyć a z poważniejszych pozycji wymienia „Port morski”, „Sejsze Zatoki Gdańskiej”, opracowane przez niego rozdziały „Encyklopedii morskiej”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Morskiego i wspólną pracę, wykonywaną w zespole pracowników Stacji Morskiej p.n. „Podstawy hydroakustyki”.

Studenci z lat 1947/48 pamiętają, że starszy pan, wówczas asystent ucząc ich nurkowania i pletwonurkowania, dodatkowo wprowadził ćwiczenia w komorze ciśnieniowej.

— Kiedyś — opowiada on sam — do komory weszła pierwsza grupa starannie dobranych chłopców. Zwiększono ciśnienie o jedną atmosferę i cała gromadka zaczęła odczuwać, normalny w takich wypadkach, ból w uszach. Chłopców ogarnął lęk. Zrejetowali i nie było sposobu, aby ich z powrotem namówić do wejścia.

— Ja pójdę — ochotniczo zgłosiła się wówczas, jakaś dziewczyna.

— Proszę — zgodził się asystent.

W ślady dziewczyny poszli chłopcy. A kiedy znowu nastąpiły sensacje, związane z podniesieniem ciśnienia i jeden ze studentów podniósł się, aby uciec, dziewczyna zapytała:

— Ty dokąd?

Chłopak zawahał się, nic nie odpowiedział, tylko zawrócił z powrotem. Cała grupa wytrzymała do końca. Odtąd ćwiczenia w komorze stały się łatwym elementem szkolenia. A profesor Stanisław Szymborski, uczony-oceanolog bardzo sobie ceni dzielność płci, podobno słabej.

Wszystko zaczęło się od zwykłego kajaka. Dwunastoletni Stanisław, po utracie rodziców opuścił rodzinny dom w Warszawie i przegarnięty został do bursy dla sierot i niezamożnej młodzieży. W tych warunkach ukończył gimnazjum, a o własnych siłach i przy pomocy Towarzystwa Dobroczynności podjął i ukończył studia wyższe.

— W internacie — wspomina teraz — istniała drużyna harcerska złożona z takich jak ja chłopców „z kwaśnego ciasta”.

Młodzi chłopcy szukali przygody w wędrownych wodami po całym kraju. Kiedy przychodziły wakacje, organizowali grupami i pojedynczo spływy łodziami własnej konstrukcji „z wody na wodę”. Naturalnie nie brakowało wśród nich Szymborskiego. Najdłuższą wyprawę odbył on w 1928 roku jako komendant spływu Dunajem do Czarnego Morza — 2.000 kilometrów. Wyprawił się następnie po dwakroć od źródła Wisły do Gdańska. Po powrotnym dotarciu do ujścia Wisły, mając za sobą wiele rzek, mógł powiedzieć, że opłynął kajakiem połowę kuli ziemskiej. Bilans kajakowych wędrowek, wówczas już studenta Wydziału Budownictwa Wodnego Politechniki Lwowskiej, zamykał się

bowiem sumą 20 tysięcy kilometrów. Z rzek przerzucił się na morze. Przy porcie gdyńskim istniał już bowiem harcerski ośrodek jachtowy, w którym prowadzono kursy żeglarskie.

— Moim nauczycielem w żeglowaniu po morzach — profesor ożywia się — był zapalony taternik, żeglarz, wychowawca i przyjaciel młodzieży — Mariusz Zaruski.

Wiele godzin spędzili na jednym pokładzie. Wychowawca pozyskał dla morza jeszcze jedną otwartą głowę a uczeń — stopień kapitana żeglugi jachtowej i miłość do morza. Zaś po powrocie do Lwowa uczeń z innymi entuzjastami założył Akademicki Związek Morski, którego centrum mieściło się w Gdańsku.

Był jeszcze jeden pożytek z wiślanej wyprawy. Pokazywał mi profesor uzupełnioną i wznowioną w 1963 roku, przez „Sport i Turystykę”, książeczkę p.t. „Wisła — przewodnik dla turystów wodnych”. Książka ta ukazała się po raz pierwszy w 1935 roku a autor otrzymał złotą odznakę Związku Kajakowego. Honorarium autorskie pozwoliło mu na cały rok zrezygnować z posady... ekspedienta. Bowiem zanim Stanisław Szymborski, na rok przed wybuchem wojny, został asystentem profesora Bartla, musiał na utrzymanie zarabiać, jako sprzedawca. Jako intratne zajęcie traktował również produkcję... sztucznych kwiatów i pocztówek.

Potem przyszła wojna. Profesora Bartla aresztowali hitlerowcy i stracili go wraz z innymi lwowskimi uczonymi. Jego asystent wędrował — jako robotnik — po południowych krańcach Polski. W 1945 roku znalazł się w Lublinie i w kwietniu, zaopatrzony w legitymację ówczesnego Ministerstwa Administracji Publicznej z numerem 3, w Grupie Operacyjnej Wybrzeża był już w Gdańsku. Na zlecenie ministra Okęckiego

objął w Gdańskim Urzędzie Wojewódzkim stanowisko naczelnika Wydziału Morskiego. Potem, jako szef odbudowy centralnego Wybrzeża w Delegaturze Rządu, borykał się z trudnościami pierwszych lat powojennych. Przyjął zarazem mandat Polskiego Związku Żeglarskiego dla poprowadzenia oddziału morskiego PZZ. W niedługim czasie na Bałtyku pojawiła się, wydobyta z morskiego dna, flotylla jachtowa składająca się z ponad 100 jednostek. Jej dzieje stanowią trochę kłopotliwą kartę w życiu profesora. Otóż w tym czasie podjęto organizację kursów żeglarskich. Jeden z nich umieszczono w Uście. Którejś nocy na morze wypłynął jacht z 3-osobową załogą. Przewodził jej b. uczestnik powstania warszawskiego pan J. Stracił on w powstaniu nos, mimo to zachował junańską fantazję. Załoga, nikogo nie uprzedzając, skierowała się do Skandynawii. Stamtąd napłynęły wieści niezbyt dobrze świadczące o uczestnikach wyprawy. Dopiero teraz dowiedziano się zresztą, że odezwała się w nich krew morskich szwależerów: ni mniej, ni więcej, tylko zamierzali opłynąć świat. Kłopoty zaczęły się wszakże dopiero w Anglii. Flegmatyczni synowie Albionu, aby nie przysparzać sobie kłopotów, nie chcieli wpuścić intruzów do portu.

— Ja tu przybywam, aby wprawić sobie nos — oświadczył wtedy pan J.

To przekonało Anglików. I istotnie pan J. opuścił Wyspy Brytyjskie wzbogacony o piękny organ powonienia. Nie miał jednakże zamiaru powracać do kraju. Skierował jacht na Atlantyk. Nie osiągnął jednak wód otwartego oceanu. Podczas burzy, na Biskajach, statek uległ ciężkiej awarii.

A żeglarstwo w kraju poddało gruntownej reorganizacji.

Wyobraźmy sobie piramidę. Jej budulcem nie będą potężne głazy dźwigane przez farańskich niewolników. Elementem budowlany jest produkt biologiczny: morze i oceanów: warstwę podstawową stanowią drobny lecz przebogaty plankton, szczytem zaś eksploatowany przez człowieka produkt spożywczy, jakim jest ryba. I teraz wróćmy do oświadczenia profesora Deacona. Mówił on wprawdzie o powierzchni morskiego dna, ale słowa jego z równym powodzeniem możemy odnieść do znajomości głębszych jego pokładów: równie bogatych w zasoby mineralne dotąd przez człowieka nie eksploatowane.

— Nauka — podkreśla prof. Szymborski — zerwała już z mityczną ciszą, martwością i bezruchem głębin. Na wielkich głębokościach morze i oceanów wre także intensywne życie. Zabezpieczenie środków odżywczych zapewnia mu nieubłagane prawo przemian biologicznych i potężna cyrkulacja mas wodnych. A głębinyowe prądy są o wiele silniejsze od tych chociażby, które obserwować się dają na powierzchni Bałtyku. Warunki termiczne na dnie sprzyjają intensywnym procesom chemicznym.

Dość wspomnieć, że dno oceaniczne posiada tu i ówdzie tzw. buły manganowe. Mangan natomiast jest pilnie poszukiwany przez przemysł strategiczny a jego zasoby ziemskie są dość ograniczone. Ale nie przemysł strategiczny decyduje o potrzebie badania głębin morskich i dna oceanu. Istotniejszą przyczyną są zupełnie odmienne potrzeby ludzkiego gatunku. Otóż — jak wspomnieliśmy — dotychczas eksploatowana jest (zresztą w sposób jeszcze raczej rabunkowy i nieprzemyślny) przez człowieka jedynie wierzchnia warstwa morskiej piramidy. Mimo to daje ona wielu ludziom poważny odsetek pożywienia. A jakie możliwości kryją dalsze warstwy piramidy? Eksplozja demograficzna na całym świecie wskazuje na to, że wkrótce ludzkość — oczywiście nie biorąc pod uwagę dnia jutrzejszego — może osiągnąć krytyczny pułap, jeśli idzie o wyżywienie oparte o zasoby ładu. Czy nie w owych głębszych warstwach piramidy trzeba więc będzie szukać rozwiązania problemu grożącego jej głodu? Wody

morze i oceanów oraz ich podłoże — odpowiadają naukowcy — kryją niewyczerpalne zasoby pożywienia i surowców przemysłowych jeśli ich eksploatację opierać na zasadach naukowych.

— Tylko na razie — dodaje profesor — nie umiemy ich eksploatować.

A zawartość wód morskich kryje w sobie jeszcze wiele tajemnic. Badacze, którzy już przystąpili do poszukiwania zasobów żywnościowych w głębinach morskich, i ich przystosowania do potrzeb człowieka, stanęli przed arcytrudną zagadką. Mianowicie zaczęto podawać, jako pokarm, pewnej liczbie młodych szcurek oryginalny morski plankton. Druga grupa tych samych osobników otrzymywała pożywienie konwencjonalne. Gryzonie „intelektualnie” rozwijały się normalnie. Jednakże szcurek odżywiane planktonem przestały się rozwijać fizycznie. Dowcipniejsi uznali: po co nam wyrastać na olbrzymów? Skończą się kłopoty mieszkaniowe. Ale nauka chce uzyskać odpowiedź: dlaczego? Jak temu zaradzić?

Przejdźmy teraz na krajowe podwórko. Coraz częściej podnosi się głosy o grożącym Polsce deficycie wody. Niedostatek słodkiej wody — i to wcale w nie zbyt odległej przyszłości — może stać się czynnikiem hamującym rozwój ekonomiczny kraju. Występuje bowiem w Polsce, znane dotychczas w większej skali w USA, zjawisko stepowienia kraju i ucieczki wód gruntowych. Gdzież więc szukać ratunku?

— Trzeba szukać — odpowiada prof. Szymborski — technicznych sposobów wytrącania soli z wody morskiej. Metoda wyparowywania jest zbyt powolna i nieekonomiczna. Morze jest niewyczerpalnym zbiornikiem tego przede wszystkim podstawowego surowca, zaś Morze Bałtyckie z wodami słabo zasolonymi może się okazać szczególnie podatne do tej operacji.

Konsekwencje braku słodkiej wody trudno w tej chwili przewidzieć. Pewne tylko, że produkcja jej, już jako surowca, zmieni nadmorski krajobraz. Nad morzem trzeba będzie lokalizować przemysł. A to z kolei — i nie tylko to — wprowadza nas w potrzebę badań brzegów morza.

W 1956 roku odbyła się w Gö-

teborgu konferencja mająca na celu opracowanie programu badań morza w ramach III Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Z ramienia Polskiej Akademii Nauk, uczestniczył w niej prof. Szymborski. Sekretarzem Konferencji był Japończyk Yosizda. Interesował się on zagadnieniem międzynarodowych statków badawczych. Prof. Szymborski przedstawił ogólny projekt takiego statku ze swego punktu widzenia. Wkrótce po jego powrocie do kraju nadszedł z Paryża list. UNESCO za pośrednictwem Yosizdy, zwracało się o szczegółowe przedstawienie poglądów. Profesor streścił je w sześciu punktach. Następnie został poinformowany, że cztery spośród nich zostały przyjęte, jako obowiązujące UNESCO przy dalszych badaniach tego problemu. Nastąpiły teraz coroczne wyjazdy głównie na posiedzenia UNESCO. 1957 rok — Helsinki, 1958 — Paryż, 1959 — NRD, 1960 — znowu Helsinki, 1961 — Moskwa, 1962 — Paryż, 1963 — Halifax w Kanadzie.

Efektem pierwszego wojażu profesora było powołanie przez Polską Akademię Nauk polskiego Komitetu Badań Morza, którego przewodnictwem powierzono prof. min. Stanisławowi Darskiemu. Jest to w chwili obecnej, jedyna instancja usiłująca koordynować naukowe badania morza w skali ogólnokrajowej.

W Związku Radzieckim, USA, w Japonii i Anglii badania te rozwijają się niesłychanie szybko. W Polsce, natomiast oceanologia jako kompleks oraz dyscyplina naukowo-badawcza formalnie nie istnieje. Nie wytyczono ani określonego kierunku, ani programu studiów. Działają tylko odosobnione i wyodrębnione ośrodki naukowe zabezpieczające pewne działy oceanologii. Wiele naukowców zajmuje się problematyką morza w odosobnieniu. Badania te są rozproszone i najczęściej podporządkowane aktualnym potrzebom gospodarczym.

— My powiada profesor — oceniamy pilność zadań wedle potrzeb doraźnych. Z niechęcią patrzymy na to, co potrzebne będzie „jutro”, a to co będzie „pojutrze” nas nie interesuje.

Istnieje zatem pilna potrzeba zdynamizowania badań. Potrzebni są specjaliści dla prowadzenia prac w zakresie oceanografii technicznej, fizyko-chemicznej, biologicznej, geologicznej, ekonomicznej i geografii morskiej. Poza Politechniką Gdańską i W.S.R. w Olsztynie, które szkolą specjalistów przede wszystkim w dziedzinie technicznej i rybackiej, żadna inna uczelnia nie przygotowuje kadr morskich w rozumieniu oceanologicznym. Potrzeba ponadto dobrze wyposażonego statku badawczego. Wszyscy nasi sąsiedzi nadbałtyccy posiadają takie statki — Polska, ani jednego. Możemy pełną garścią czerpać z doświadczeń Związku Radzieckiego. W badaniach morza zdecydowanie zdystansował on wszystkie inne kraje. Naukowcy radzieccy chętnie dzielą się z nami swymi doświadczeniami. Zaoraszają polskich nau-

kowców do siebie a nawet oferują miejsca na statkach badawczych.

Być może sytuacja dotychczasowa ulegnie wkrótce zmianie. W listopadzie ubiegłego roku w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego odbyła się konferencja z udziałem przedstawicieli uniwersytetów i Politechniki Gdańskiej. Na konferencji powołano zespoły, które w marcu br. przedstawią projekt doraźnego programu szkolenia specjalistów w dziedzinie badań morza przez ministerstwo. Ale kadry najlepszych specjalistów wszystkiego nie rozwiążą. Pilnie potrzebny jest także odpowiedniej jakości sprzęt badawczy.

— Już dziś — powiada profesor — rozpatruje się prawne pojęcie przynależności dna morskiego obszarów szelfowych (obszarów płytkich morze — przyp. aut.). Jutro w ślad za tym pojdzie zdefiniowanie pojęcia eksploatacji morze głębokich. Pojutrze ocean, jako obszar eksploatacji, podzielony zostanie pomiędzy kraje, które dziś partycypują w badaniach.

Takie zdanie reprezentują naukowcy radzieccy. Takie przypuszczenia wyrażają specjaliści innych krajów. Nie zapatrujmy się więc zbyt w dzień dzisiejszy...

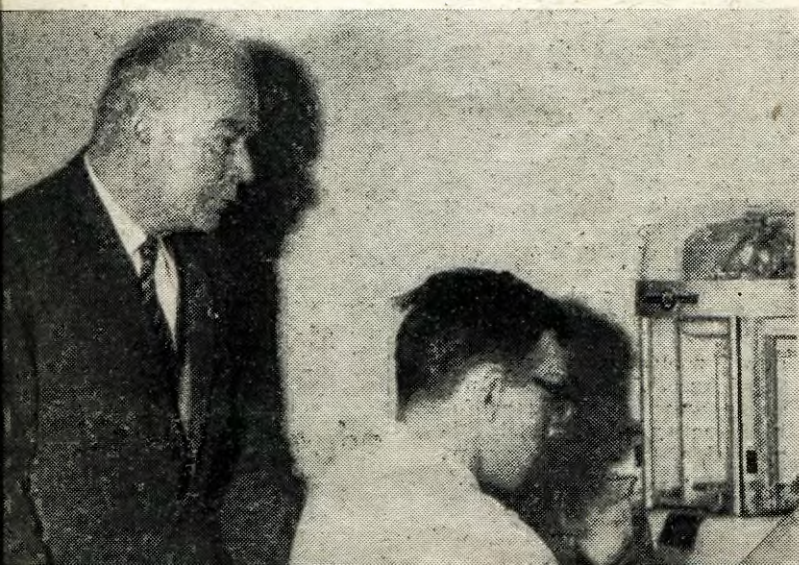
Stanisław Szymborski posiadał, rzadki już dzisiaj, dar przekazywania w sposób gawędziarski spraw trudnych. Przy filiżance mocnej kawy przyrządzonej przez p. Irenę, żonę gospodarza, mógłby nieśkończenie przedłużać przygodę na głębinach morskich. I wówczas, kiedy nie wiadomo jak, przeniesiemy się z naszej planety „na słońce”, które zresztą wywiera przemożny wpływ na życie morze i oceanów, gospodyni umiejętnie sprowadzała nas na ziemię. Trafiliśmy również do Stacji Morskiej w Sopocie. Kierowana przez profesora placówka otrzymała zadanie zabezpieczenia działalności Komitetu Badań Morza. Aktualnie prowadzi się tutaj badania fizyki morza i chemii wody morskiej, obserwuje się zjawiska geologiczne i prowadzi obserwacje meteorologiczne. Niezwykle ważną placówką stacji jest pracownia informacji i dokumentacji badań morza w Polsce i na świecie.

Nazwałem profesora adwokatem morskich głębin. Nie bez powodu. Szturmuje on, gdzie tylko może, aby przekonać kogo potrzeba o konieczności kompleksowego zajęcia się badaniem morskich wód.

— Jesteśmy krajem małym — powiada — i nie stać nas na rozrzutność. Prócz tego w pojedynkę nie wiele można zwojować. No i pamiętajmy o pojutrze. Snadnie zdarzyć się może, że przyjdziemy do stołu już zajętego. A mamy pełne możliwości, aby stać się narodem morskim. Bo krajem już jesteśmy...

STANISŁAW DZIADOŃ

ZDJĘCIA: Z. GRABOWIECKI



doliny i meliny

od dość dawna miałem wrażenie, że łatwiej dowiedzieć się w Gdańsku o melinę niż o dolinę. Ostatnia styczniowa niedziela przekonała mnie o tym w zupełności. Była to piękna niedziela. Panorama lasów ciągnących się wzdłuż całego trójmiasta skrzyła się śniegiem i słońcem. Czyż można się dziwić, że zapragnąłem pójść do lasu? Co prawda na tapczanie leżała „Panorama Północy” z nowym kociakiem, „Kobieta i Życie”, „Życie Literackie” i cały plik cotygodniowej strawy kulturalnej. Ale lekturę zacząłem w sobotę od szpilkowego felietonu Słonimskiego i tradycyjny niedzielny przegląd prasy złatwiłem odmownie. No bo Słonimski miał rację — w „Przekroju” znówu bajki Kerna, w „Świecie” abstrakcje Kubiaka, itp. aż do „ItD”. Ku da im do „Polityki” — najbardziej problemowego, najbardziej ekonomicznego, najbardziej ciężkiego, a przecież w lot rozchwytywanego pisma. „Polityka” zaleca co tydzień — spójrzmy na zegarki. Ano spójrzmy — jest niedzielne, zimowe przedpołudnie. Godzina 11. Najwyższa pora wyjść na świeże powietrze. Tylko jak się tam dostać?

Otóż to. Okazuje się, że wcale niełatwo skorzystać z urody i walorów gdańskich lasów. Możemy je wprawdzie podziwiać z ckiem kolejki elektrycznej, jadąc codziennie do pracy, ale spróbujcie się tam wybrać na niedzielny spacer. Nie podwiezie was żaden miejski wehikuł. Zmarznięcie zanim dojdziecie. Nie rozgrzeje was po drodze gorącym kakao żaden bar mleczny. W ogóle pytanie, czy tam trafić. Uroczę ścieżki, piękne doliny, malownicze wzgórza, są co prawda opisane w przewodnikach turystycznych i dokładnie znane miłośnikom krajoznawstwa. Ale ilu owych miłośników jest na przykład w Gdańskiej Stoczni? Założę się — o roczną prenumeratę „Liter” — że nie więcej jak kilkunastu. Podobnie rzecz ma się w innych zakładach pracy półmilionowego trójmiasta, w którym pojęcie wczasów niedzielnych nie zostało jeszcze ani pojęte, ani przyjęte.

W najnowszym spisie telefonów województwa gdańskiego na lata 1964/65 jest co najmniej kilkaset błędnie podanych numerów. W wielu egzemplarzach brakuje kilku-dziesięciu stron. Książka warta jest recenzji najlepszego pióra. Bądź co bądź autorzy wybrzeżowi i masowa lektura „Liter” ustosunkowują się do takich wydarzeń. Ale, niestety, żaden szanujący się krytyk polski od dawna nie pisuje już na temat telefonów. Zresztą telefony wychodzą już z użycia. Ludzie jako tako jeszcze normalni nie

potrafią nimi się posługiwać. Trzeba by zatem zwrócić się do kogoś na Srebrzysku, gdzie poza pięknym cmentarzem jest zakład umysłowo chorych. Zbyt wielu tam jednak byłych użytkowników gdańskich telefonów i recenzja mogłaby wypaść stroniczo, na co jako pismo starające się o obiektywną ocenę życia społeczno-kulturalnego Wybrzeża, nie mogliśmy się zgodzić. Mam jednak prośbę do Szanownej Dyrekcji OPiT — którą składam na ręce ob. dyr. Machowiny — aby zechciała wyłożyć ten numer „Liter” w klubie „Łącznościowca”, na Długiej, bardzo blisko dyrekcji. O ile wiem, przebywa tam wielu młodych, zdolnych, łącznościowców, o literackich zainteresowaniach. Może się zainteresują? Może wyrosną z nich pisarze? Autorzy dobrej książki telefonicznej? „Literom” mimo wszystko bardzo na tym zależy.

Wracam do tematu. Nie mogąc połączyć się telefonicznie z WPKGG, zapytałem gdańskich konduktorów o autobusy do Doliny Radości, Doliny Królewskiej, Doliny Krzaczastych Młynów. Byli zdziwieni istnieniem tylu poetyckich dolin wokół Gdańska. Nie znali ich ani z codziennej pracy, ani z niedzielnego wypoczynku. Autobusy trójmiasta zajeżdżają tylko do jednej doliny — Doliny Jaskowej, gdzie mieści się Dyrekcja WPKGG. Poradzili mi, abym tam się udał i porozmawiał z samym Czachorowskim. Miałem więc szczęście do dyrektorów, nie ma co, ale w niedzielę dyrekcja nie urzęduje lecz odpoczywa i zapewne czyta „Liter”, a tej lektury nie chciałem niczym zakłócić.

Wsiadłem do taksówki i za piętnaście minut znalazłem się w innym świecie. Sosny, Świerki, Chojny, Buki, Dęby — las i śnieg. Słońce, spokój i ja — zupełnie jak w piosence Miansarowej. Pierwszy raz w życiu, nie licząc akademii, zaśpiewałem. Nie wiem jak to wypadło. Zauważyłem, że jakas samotna para narciarzy zrobiła salto, ale to chyba nie z mojego powodu. Natomiast las odpowiedział mi echem i skłonił do refleksji.

Trójmiasto — to dziwne miasto. Usytuowane arcypięknie pomiędzy morzem i lasem, praktycznie jest od nich odcięte. Mieszkańcy trójmiasta to dziwni ludzie. Znam wielu, którzy kąpią się w Bałtyku 2-3 razy do roku, w pełni sezonu. Zimowego uroku morza nie znają zupełnie. Inni przebywają na plaży kilkanaście wczasowych dni, po czym siadają w zadymionych kawiarniach i marzą o Zakopanem. Przez cały rok o tych kilku dniach. Jeszcze inni uznają wyłączenie wczasy zagraniczne. Doszło do paradosu, że łatwiej wyjechać do węgierskiej puszczy, Złotych Piasków, Szwarcwaldu, Gór Siedmiogrodu, niż wybrać się do podmiejskich lasów na niedzielny spacer.

Zapewne nie bez znaczenia są tu błędy minionych wieków. Stary nadwiślański gród — Warszawa, dopiero teraz ustawa się frontem do Wisły. Pozornie nowoczesna Gdynia, dopiero teraz kształtuje swoje forum morskie. Duma naszego dwudziestolecia — trójmiasto tak niedawno zaczęło się ze spalać. Perspektywiczny — urbanistycznie — architektoniczny — plan rozbudowy Gdańska — Sopotu — Gdyni, zmierza, przy zachowaniu całej tak atrakcyjnej różnorodności, do utworzenia jednego, wielkomiejskiego zespołu. Nowe arterie komunikacyjne bieć będą brzegiem morza i skrajem lasu. Nowoczesne dzielnice mieszkaniowe zbliżą ludzi do morza i lasu. Na plaży powstaną nowe ośrodki kulturalnego wypoczynku. Do naturalnych leśnych dolin przeniosą się z centrum trójmiasta boiska i stadiony, tory narciarskie i konne. To piękna perspektywa. Ale przecież realizacja tego planu pochłonie ogrom środków, wiele pracy, sporo lat. A tymczasem?

Tymczasem chodząc po Dolinie Radości spotkałem jeszcze jednego dyrektora — sądny dzień na dyrektorów, czy co? — kierownika oliwskiego ZOO Massalskiego. Nie zaprosił na bigos, choć pogoda była w sam raz, a dziczyna w jego królestwie wyborna. Nie poczęstował nawet kawą, co mu wybaczam, gdyż bufet ZOO, podobnie jak cały ogród, czynny jest tylko w lecie. Ale za to potraktował rozmowa długą i serdeczną.

Zaczeliśmy od filmowego pejzażu Doliny Krzaczastych Młynów, której część zajmuje oliwski zwierzynek. Okazuje się, że słowo „filmowy”, jest tu w pełni uzasadnione nie tylko ekranową urodą pleneru doliny. W oliwskim ZOO nakręcono kilka najpiękniejszych polskich filmów przyrodniczych m. in. „Życie zwierząt w naszych lasach”, „Życie ssaków morskich”, „Pożar lasów”, „Piękno Warmii i Mazur”. Tu także spędzili wiele tygodni twórczej pracy — mistrzowie przyrodniczej fotografii Władysław Puchalski i Jan Styczyński, utrwalając pejzaż doliny i życie zwierząt. A zwierzęta chowają się znakomicie. Tak znakomicie, że stały się bohaterami prac magisterskich młodych botaników i zoologów, Olsztyna i Gdańska. Żubry, bizona, lwy, słonie, węże boa, aligatory, fok, kangury, niedźwiedzie himalajskie, kameleony, rezusy,

gazele, nadmorskie orły i afrykańskie gołębie oraz wszelakie małpizony żyją tu w zdumiewającej koegzystencji. Można spokojnie kontemlować wszystkie wady i zalety ludzkiego charakteru. Oliwskie ZOO obchodzić będzie 1 Maja swoje dziesięciolecie. I z tej okazji dyr. Massalski opowiedział mi dzieje ogrodu, które wydały mi się tak pouczające, że je tutaj streszczę.

Niedługo po wyzwoleniu grupa entuzjastów przyrody i miłośników zwierząt postanowiła założyć w gdańskich lasach ogród zoologiczny. Społeczeństwo przyklasnęło. Zgłosiło się gremialnie ze zwierzakami i łopatami. Rosnąć zaczął zwierzynek, którego w końcu nie można już było prowadzić wyłącznie w oparciu o doraźną pomoc społeczną. Przystąpiono do budżetu i planu. Opracowano dokumentację wspaniałego ogrodu z pałacami dla zwierząt. Wszelkie komisje architektoniczne plan z zachwytem zatwierdziły. Na szczęście znalazł się ktoś rozsądny, który przypomniał, że na Wybrzeżu ludzie nie mają mieszkań i na milionerskie wille dla małpiznow trza poczekać. To był bardzo trudny moment dla ZOO. Zdawało się, że skoro piękny plan opadł wszystko musi upaść. Alifci okazało się coś zupełnie innego. Garstka społeczników nie zrezygnowała, rada narodowa dała skromne fundusze i gospodarczym sposobem zabezpieczono życie zwierząt i żywot ogrodu. Aby nie razić estetów rozmieszono prymitywne domki zwierząt wśród drzew. I okazało się, że ten naturalny niejako prymityw zapewnił mieszkańcom ZOO najbardziej właściwe warunki rozwoju. Młody przychówek i narybek oliwskiego zwierzyńca jest najpiękniejszy w Polsce, przodując w Europie. Nie oślabo także zainteresowanie społeczeństwa. Jedna czwarta zwierząt przywieziona i ofiarowana została przez naszych marynarzy i nasze statki (początek dała załoga s/s Kilińskiego, co w tym historycznym felietonie wdzięcznym sercem odnotowujemy), ze wszystkich kontynentów świata. Ogród zwiedziło ponad dwa i pół miliona osób. To chyba niezły bilans społeczno-kulturalny finansów rezerwat przyrody. I jako się rzekło pouczający.

Na czym polega owa dydaktyka? Sądze, że na zwycięstwie inicjatywy społecznej. Budujemy nowoczesne pałace ze szkła, stali, plastyku. Twórzmy, zespalamy trójmiasto. Ale nie czekajmy aż posiwięją nam skronie. Biermy dzieciaki za ręce, a także babcie i teściowe, i hajda na śnieżną i zieloną trawkę, na gdańskie wzgórza i doliny. Oczywiście jakiś mikrobusik, jakiś bar mleczny, jakaś wypożyczalnia sprzętu sportowego by się przydała, proszę obywateli dyrektorów.

edgar milewski

PROSZĘ MIEĆ WZGLĄD NA MIKROFON

Reżyser z pasją uderza dłonią w stół. „No co to jest, żeby mi aktor stawał plecami do mikrofonu! Jakby pierwszy rok pracował w radio!” Przez wielką szybę widać w studio dwóch młodych ludzi przy stole i wielki mikrofon oświetlony wiszącą nisko lampą. Nagrywa się fragment kolejnego odcinka powieści radiowej „Numer 322”.

Rafał, młody lekarz z nadmorskiego miasteczka opowiada o klubie, który chce zorganizować wspólnie z grupą młodzieży. Mają już lokal, jest sporo chętnych. Nunek gra na gitarze, interesuje się jazzem, w klubie nie zabraknie dobrej muzyki. Jolka mnóstwo czyta, świetnie zna współczesną poezję; żona doktora Laszkiewicza też obiecała pomóc. Są chłopcy i dziewczęta z ZMS.

Odtwórca roli Rafała w ferworze rozmowy miał nieśczęście odwrócić się na chwilę od mikrofonu i właśnie sięgnął na siebie gromy reżysera. „Stop, trzeba to powtórzyć, głos był płaski, bezbarwny.” Fragment dialogu nagrywa się od nowa.

Sławek, któremu Rafał opowiada o swoich kłopotach, przyjechał z Gdańska. Pracuje od dawna w Komitecie Przeciwalkoholowym, organizował mnóstwo imprez w klubach młodzieżowych i zakładach pracy Gdańska. Gdy ni i Sopotu, w miastach i wsiach całego województwa. „Wiesz, zapraszałem na Zgadzaj — zgadzaj — zespół muzyczny z „Non-Stopu”, byli plastycy na imprezach „Na ty z paletą”. Mówię ci jak tam rysowali plakaty, karykatury, tak na żywo, jak Kobylński rysuje w telewizji”. Rozmowa toczy się szybko, z młodzieńczą werwą, trochę chaotycznie i z przejęciem. Roli Sławka nie odgrywa aktor. Ten młody człowiek naprawdę jest pracownikiem Wojewódzkiego Komitetu Przeciwalkoholowego. Zaproszono go na ten jeden występ w studio, ponieważ tekst radiowej powieści przewiduje rozmowę Rafała z przyjeżdżającym prelegentem.

„Sławek” siedzący teraz przy mikrofonie nie jest w studio pierwszym „człowiekiem z zewnątrz”. Kiedy losy zawiodły jednego z bohaterów powieściowych, Pawła Wanertę, do przychodni lekarza i pielęgniarki, z którymi rozmawiał, byli też „prawdziwi”. Byli już „prawdziwi” spikerzy w radiowym koncercie zyczeń, którego słuchała rodzina Wanertów, zjawi się jeszcze autentyczny milicjant, będzie szpital z prawdziwego zdarzenia.

Na pomysł wprowadzenia w kilku scenach autentycznych ludzi danego zawodu zamiast aktora z tekstem napisanej roli w reku, wpadł reżyser „Numeru 322”, Jan Bolgaty. Mówi o tym autorka, Mirosława Walicka: „O-

czywiście te dialogi „autentyczne” są improwizowane. Po to właśnie zapraszamy tych ludzi, aby odtwarzali swój zwykły sposób mówienia w pracy na co dzień. Dążymy do jak największej naturalności sytuacji i stylu. Sięgamy po środki właściwe reportażowi tam, gdzie to jest możliwe w powieści, będącej przecież w końcu historią fikcyjną. Staram się wciąż, żeby moja powieść i w konfliktach, i w charakterach i nawet w stylu była jak najbardziej wierna rzeczywistości, w której naprawdę żyjemy”.

Przed dwudziestoma minutami, przed rozpoczęciem nagrania, obaj odtwórcy ustalali pokrótce treść dialogu, który za chwilę mieli prowadzić. „Rozpędzili się” tak, że reżyser musiał im przerwać: „Dość tego, bo się wygadacie i potem nie wyjdzie. Zaczynamy”. Przy otwartym mikrofonie znikła gdzieś nagle naturalność, spontaniczność, ożywienie. Rozmowa się nie klei, prelegent monologuje oficjalnym tonem, aktor nieśmiało wtrąca monosylaby. Długie minuty trzeba będzie wyrzucić z nagrania, żeby słuchaczy niedzielnego odcinka powieści nie zanudzić „długą mową”. Powoli „Sławek” zapomina o mikrofonie, opowiadając o swej pracy staje się znów naturalny. „Rafał” ożywia się także, pyta, dziwi się, zaprzecza, przerywa partnerowi w pół słowa. Autorka i reżyser uśmiechają się do siebie porozumiewawczo: od tego miejsca dialog można będzie wziąć do audycji. Jest już dobrze, tak rozmawiają prawdziwi ludzie, a nie automaty wypchane sloganami. I wreszcie „Rafał” z ożywieniem wstaje, jakby zapominał, że jest w studio, zaczyna gestykulować, odwraca się tyłem, jego głos w odborniku kontrolnym kichnie. Wtedy właśnie grzmi reżyser: „Proszę mieć wzgląd na mikrofon!”

Kiedy państwo dostaną do rąk ten numer „Liter”, upłyne już tydzień od nadania odcinka, którego część właśnie nagrano. Będziemy oczekiwać rozstrzygnięcia konkursu na nazwę klubu, organizowanego przez Rafała. Konkurs rozpisano dla fikcyjnych bohaterów i dla... prawdziwych słuchaczy radiowej powieści. Młody lekarz Rafał, Jolka urzeczona poezją, Nunek z gitarą i ich przyjaciele czekają na Wasze listy. Do usłyszenia w niedzielę o godzinie 16.05. **M.CZ.**



W „ŻAKU” ZABAWA

Przychodzą na nią studenci i ludzie bardziej dojrzały. Krechowicz proponuje „Psa”, Ronczewski rozmawia z „Grubasowem”, Fedorowicz z Warszawy skacze i tu i tam, ale zawsze zjawi się w porę, bo... „TO-TU”. Ekonomisci popełniają „FOPA” i nikt się na nich nie gniewa a Frejer zadziwia i pyta: „CO-TO?” Ręce urzekają poetycką ekspresją a Afanasjew bywa raz „Na wozie”, raz w „Cyrku”. Chyła sam śpiewa i każe to robić innym...

Na czas najbliższy ogłasza się „Turniej miast XX-lecia”. Wystąpią w nim najtęższe głowy Opola i Koszalina, Poznania i Białegostoku... Sekretarze KW PZPR i ojcowie wojewódzkich metropolii będą mówić o swoich miastach. Naukowcy opowiedzą o wynalazkach XX-lecia i o rozwoju gdańskich uczelni. Do czerwca studenci stawać będą w szranki z wiedzą o Polsce i morzu. Ich skandynawscy koledzy obejrzą tymczasem przygotowaną w Gdańsku wystawę przedstawiającą nasze miasto.

Wszystko to w „Żaku”, którego pełna nazwa brzmi: Klub Studentów Wybrzeża. Można by dalej wymieniać „żakowskie” figle (albowiem tu wszystko ma bawić), ale któryż poeta w Polsce nie wie o turnieju „Czerwonej Róży”?

Warto natomiast wiedzieć, że od stycznia br. „Żak” zaczął bawić załogę gdyńskiej stoczni. Układające się stromy, tj. kierownik „Żaka” Andrzej Cybulski i przedstawiciel RO Zrzeszenia Studentów Polskich Jerzy Redziński z jednej strony, a kierownictwo Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni z drugiej, podpisali stosowną umowę.

I jeszcze jedno: „Żak” pozbył się kłopotów związanych z administracją budynku. Rzecz kłopotliwa, bo u studen-

Fotoreportaż ZYGMUNTA GRABOWIECKIEGO



tów kiesa chuda. Przejęło je, te kłopoty — poprzez RN ZSP — Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego. A ponieważ rok 1963 okazał się łaskawy, więc też i gdański SFOS przyrzekł pieniądze na opracowaną już renowację budynku. „Żakowi” pozostała jeszcze troska o to, by nie znikła pamięć jego zabawy. Dotychczas bowiem nigdzie nie gromadzi się akt jego działalności: nie ma pomieszczeń na archiwum. Boję się, że czas pochłonie wiele rzeczy i spraw, które warto ocalić. Bo chociaż w „Żaku” ciągle trwa zabawa, to jest to dobra zabawa. Taka, co to zarazem uczy. A posiąść jej kunszt wcale nie jest łatwo. Wśród, co starszej braci „żakowskiej”, krąży taka oto anegdota z pionierskich czasów.

Było to przed sześciu laty, kiedy rodził się „Żak” i wszechwładnie panował w nim „Bim-Bom”. Współczesny Gwiazdor filmowy nie był jeszcze Gwiazdorem i — jak każdy śmiertelnik — na I Festiwalu Teatrów Studenckich w Warszawie, wnosił do zespołu zaraźliwy ładunek niepokoju i tremy. Nie bawiono się z nim w ceregiele: delikwenta zamknięto w lokalu, na którego drzwiach widniał wiadomy trójkącik. Zamek wszakże nie dawał pełnej gwarancji utrzymania więźnia, tym bardziej, że ten aktywnie buntował się przeciwko własnemu losowi. Dlatego z drugiej strony, drzwi podtrzymywał prezes RO ZSP w Gdańsku. Na scenie tymczasem skończyło się przedstawienie, o czym prezes nie wiedział. Wkrótce wysokie jury ogłosiło wyniki.

— Zdobyliśmy pierwsze miejsce! — wpadł na prezesa jeden z aktorów „Bim-Bomu”. — Jury czeka na reżysera, aby mu wręczyć nagrodę.

— Wyłaż! — prezes puścił dzielnie podtrzymywane dotąd drzwi. — I prędko na scenę.

Współczesny Gwiazdor był bowiem reżyserem spektaklu.

Tak to zaczęła się zabawa, która trwa, bez przerwy, od sześciu lat. A w antraktach, szczególnie w karnawale przygrywa w „Żaku” orkiestra do tańca. Zdjęcia, które wybraliśmy dla Was, nie są z karnawałowego balu, ale i one pochodzą z „żakowskiej” zabawy. Pysznej zabawy...

W „ŻAKU”

ZDJĘCIA: ZYGMUNT

Na poprzedniej stronie: prapremiera „Olafa Grubasowa” J. Afanasjewa. Na scenie Andrzej Szacilo.

OD LEWEJ:

- 1) Studenckie „FOPA”...
- 2) „Dobry wieczór błaznie” — to program Cyrku „Tralabomba”.
- 3) Z programu „CO-TO”.
- 4) Teatr Studentów PWSSP „Galeria” przedstawia „Psa” w reż. Jerzego Krechowicza.
- 5) W „Żaku” czytają „LITERY”.
- 6) Laureat turnieju poezji społecznie zaangażowanej o nagrodę Czerwonej Róży w roku 1963 — Jan Goczoł z Opola.





LABAWA

RABOWIECKI



Okres drugiej wojny światowej złączył los wielu Polaków z Pomorzem Zachodnim jeszcze zanim weszli tu żołnierze polscy i radzieccy. Jedni Polacy przywiezieni zostali tu jako jeńcy po klęsce wrześniowej 1939 r., inni w ciągu lat wojny „zwerbowani” zostali na roboty przymusowe w wyniku łapanek ulicznych, aresztowań itp. III Rzesza potrzebowała robotników. Wszyscy jako tako sprawni fizycznie mężczyźni niemieccy powołani zostali do wojska. W warunkach współczesnego niewolnictwa, zahukani ciężką pracą, wśród obcego środowiska, Polacy znaleźli jednakże czas i siły na podjęcie walki.

MOWI JEDEN Z WIELU

„...Służyłem w 64 grudniadkiem pułku piechoty. Walczyłem w Gdyni i w Babin Dole. Odbyłem „kwarantannę” w stalagach Stargard oraz Grossborn. Potem skierowany zostałem do bauera Paula Klage w Gwście Wielkiej koło Szczecinka. Zetknięcie z 60-letnim Pauliem Klage, członkiem SS, unaościło mi jeszcze raz obłudę niemieckich oficerek „spokojnej pracy na roli”. Klage traktował pracujących u niego Polaków, Francuzów, Anglików i Rosjan wyłącznie jako siłę roboczą. Nie miał współczucia. Przynależność do SS „zobowiązywała”. Nienawiść moja do hitlerowców z każdym dniem potęgowała się. Początkowo samorzutnie dokonywałem drobnych sabotaży. Było osłabienie Hitlera, było przedziwne wojnę. Niszczenie sadzonek drzew, niedbałość o sprzęt itp. Na wiosnę 1943 r. zwrócił się do mnie towarzysz niedoli pracujący w tej miejscowości u wójta niemieckiego Schultza, kpr. Stoliński. Oświadczył: powstała tajna organizacja do walki z Niemcami. Zapisałem się. Złożyłem przysięgę w pobliskim lesie, gdzie odbywały się nasze spotkania. Komórka organizacyjna znajdowała się w Drzonowie (Schenau). Nieznani mi ludzie mieli z nami pogadanki o sytuacji na frontach, w samych Niemczech... W okresie zimy schadzki odbywały się w tajni bauera, u którego pracował aktywny działacz ruchu oporu, Wiktor Wic. W Gwście Wielkiej należało do ruchu oporu ok. 20 osób. Otrzymywaliśmy raz na tydzień gazetkę pisaną na maszynie, która zawierała wiadomości o sytuacji międzynarodowej, klęskach Niemiec i walce Polaków w kraju. Broni nie mieliśmy. „Otrzymacie ją w odpowiednim czasie” — mówiono nam. Wkrótce jednak zosłem aresztowany za nieposłuszeństwo wobec gospodarza. Zandarmeria przetrzymała mnie kilka dni w więzieniu w Szczecinku. Po uwolnieniu z więzienia, Arbeitsamt skierował mnie do pracy w Starym Drawsku (Alt Draheim). W ten sposób zostałem izolowany od zorganizowanego ruchu oporu. Nowych kontaktów nie zdążyłem nawiązać, gdyż Armia Czerwona i Wojsko Polskie wkroczyły do Starego Drawska. (Stefan Zek — Stare Drawsko, pow. Szczecinek).

„OBCOPLIENIENI...”

Tak nazywa Polaków i innych obcokrajowców wywożonych do Rzeszy na roboty przymusowe Hans Franck. W wyniku jego działalności liczba Polaków wywiezionych do Niemiec przekroczyła milion osób. Niepełne dane uzyskane w wyniku badań historyków szczecińskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego wykazują, że np. w Okonku (Ratzebuhr) pracowało 250 Polaków, w Choszczynie (Arnswal-

de) ponad 1000, w Wilczym Lasie (Wulf-Lazke) — 80, w Goździe (Gust) — 120, w Lotyniu (Lothin) — 100, w Wołowych Lasach (Eichwier) — 140, w Kraglęm (Bensdorf) — 70, w Strączynie (Stranz) — 30, Nowym Dworze (Neuhoff) — 50, Wardyniu (Wardyn) — 73. Według uzyskanych danych z 18 miejscowości Pomorza Zachodniego, w okresie wojny pracowało w tych miejscowościach (1944 r.) 2353 Polaków, 439 Rosjan, 215 Ukraińców, 306 Francuzów, 40 Włochów, 82 Anglików, 56 Jugosłowian oraz 42 Amerykanów. Nierzadko ilość obcokrajowców zbliżała się do ilości niemieckich mieszkańców danej miejscowości. Było tak, np. w Tucznie (Tütz). Hitlerowcy wówczas zwiększyli czujność, bezwzględnie karząc za najdrobniejsze nawet wykroczenia przeciwko regulaminowi dla robotników przymusowych. Jednym z głównych dążeń hitlerowców było niedopuszczenie do zgromadzeń, wspólnych spotkań. Pociągało to za sobą nie tylko kary pieniężne i cielesne, ale także ciężkie więzienie. Natomiast warunki pracy robotników przymusowych zmuszały ich do organizowania ruchu oporu, do walki. Co na ten temat mówią inni uczestnicy ruchu oporu?

OTO DALSZE RELACJE...

„Pracowałem w majątku majora Pilza w Stopnie (Stophen). W 1943 r. spotkałem się z b. kapitanem WP Stefanem Stefanowskim, który nie ujawniając swojego stopnia pracował jako zwykły żołnierz u gospodarza w Biskupicach. Zaproponował mi wstąpienie do podziemia. Wyraziłem zgodę. Moja funkcja polegała na udzielaniu pomocy w noclegach osobom, które uciekały z Niemiec. Prowadziłem ówczesną odległą od majątku 3 km. Rzadko kto ją odwiedzał. To sprzyjało przechowywaniu uciekinierów”. (Michał Wierzbicki — Stopno, pow. Szczecinek).

„...W 1943 r. przybył do Mosina Polak ze Szczecinka. Ubrany był w elegancki czarny garnitur. Rozmawiałem z nim długo. Po kilku spotkaniach zaproponował mi przystąpienie do tajnej polskiej organizacji. Był doskonale poinformowany o tym, iu i jacy Polacy pracują w Mosinie. Moim stałym łącznikiem w Szczecinku był Józef Presz, który pracował w warsztatach u Hagla. Tak doszło do zorganizowania komórki w Mosinie, która liczyła 15 osób najbardziej zaufanych. Dwa razy organizowaliśmy przysięgi w lesie. Dysponowaliśmy bronią zdobytą różnymi sposobami...”. (Włodzimierz Bojko — Mosino, pow. Szczecinek).

„Ruch oporu w Parsęku obejmował wielu Polaków. Ja pracowałem w kuźni. Jestem kowalem. Organizatorem komórki był u nas b. porucznik WP Marcinkowski, który został później rozstrzelany w Szczecinku. Na jego miejscu był później Czesław Nowicki. W odpowiednim czasie mieliśmy wystąpić zbrojnie przeciwko Niemcom...”. (Jan Lewandowski — Parsęko, pow. Szczecinek).

„...Pewnego razu otrzymałem rozkaz udania się wieczorem na szosę Szczecinek—Pila do skontaktowania się z łącznikiem. Sygnałem była czapka trzymana w ręku. Zatrzymała się limuzyna. Znajdowali się w niej oficerowie niemieccy mówiący

po polsku. Przyjechaliśmy do Lotynia, do właściciela majątku Ridige von Herzberg. Magnat ten przekazał poważną sumę pieniędzy (to zjawisko wymaga jeszcze wyjaśnienia — red.). Dokąd moi przygodni towarzysze udali się w dalszą drogę, nie wiem. Wiadomości o Nowym Dworze gdzie pracowałem...”. (Bolesław Szulc — Okonek, pow. Szczecinek).

FORMY WALKI

Główną formą walki przeciwko hitlerowcom był drobny sabotaż. Niszczenie narzędzi pracy, płonów w polu itp. Zdobywanie wiadomości z frontów oraz urabianie wśród Niemców opinii o beznadziejności wojny. Ta ostatnia forma oporu była oczywiście niezwykle trudna i wymagała umiejętności działania.

Podpatrywano, który Niemiec posiada broń, gdzie ją przechowywał, ile sztuk broni jest w danej wsi. Gromadzono również broń. Jednym ze źródeł jej zdobywania było kupowanie od żołnierzy niemieckich, którzy stacjonowali w lesie dla ochrony urzędów wojskowych Wału Pomorskiego. Za kawę naturalną, papierosy amerykańskie, rodzynki chętnie dawali jakieś stare karabiny.

Ważnym elementem było nawiązywanie łączności z samolotami alianckimi, które dokonywały zrzutów broni, amunicji, umundurowania, sprzętu radiowego itp. Nawet samodzielnie produkowano broń, m.in. w Parsęku wyrabiano bagnety. Trudno wymienić wszystkie formy walki. Wszystko to — co osłabiało siłę Niemiec hitlerowskich, zbliżało koniec wojny, było skuteczne a jednocześnie możliwe — starano się zastosować.

FELDFEBEL ERNST HEIM

Wielkie usługi oddał organizacji podziemnej niemiecki feldfel Ernst Heim, który pracował w obozowej Abwehrze oflagu Grossborn. Współpracował on z ruchem oporu. Przemyczał paczki i listy do obozu. Dzięki jego pomocy ważne listy z meldunkami nie szły do kontroli w cenzurze. Przy jego pomocy polscy oficerowie doszli do posiadania w obozie dwóch aparatów radiowych. Dostarczał mapy Pomorza Zachodniego, które kopiowano. Ernst Heim pochodził z Warmii. Z zawodu był leśnikiem. Czuł się Polakiem. Wyznał to w chwilach trudnych dla organizacji.

OSRODKI DYSPOZYCYJNE

Poruszony wyżej problem ruchu oporu na Pomorzu Zachodnim znalazł swój wyraz w kilku oficjalnych publikacjach. Marek Sądewicz w pamiętniku „Oflag” (II wyd.) poświęca tej sprawie jeden rozdział. W liście do redakcji „Wojskowego Przeglądu Historycznego” (nr 1 1963) gen.

Chmurowicz informuje o istnieniu ruchu oporu na Pomorzu Zachodnim oraz omawia organizację i metody pracy konspiracyjnej. Z wymienionych publikacji dowiadujemy się, że na terenie Pomorza Zachodniego istniała podziemna organizacja działająca w dwóch środowiskach: wśród jeńców polskich przebywających w obozach: Czarne (Hammerstein), Borne-Sulinowo (Grossborn), Choszczno (Arnsvalde), Stargard Szczeciński oraz wśród robotników przymusowych. Ruchem oporu kierowało dowództwo AK w kraju. Natomiast lokalne dowództwo organizacji mieściło się w Oflagu II-D w Borne-Sulinowie. Na czele sztabu stał płk. dypl. Witold Morawski-Dzierżykraj. Pomagali mu: mjr. Konrad Rogaczewski, mjr. Wandycz, por. Kloc, por. Kubik. Otrzymywali rozkazy i meldunki z kraju. Środkami łączności były: listy i radio. W ważnych sprawach wysyłano specjalnych gońców. Meldunki do komórek terenowych szły za pośrednictwem żołnierzy-jeńców, którzy pracowali w oflagu i kontaktowali się ze światem zewnętrznym. Komórki terenowe istniały m.in. w: Parsęku, Drzonowie, Wilczym Lasie, Mosinie, Sporem, Kaliszu Pomorskim, Turowie, Szczecinku. Punkt przerzutowy istniał w szpitalu jenieckim w Czarnej. Częste zmiany chorych przybywających z różnych miejscowości znakomicie ułatwiała nawiązywanie kontaktów oraz przekazywanie wiadomości.

DALSZE BADANIA

Członkowie Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Szczecinku prowadzą dalsze badania dziejów konspiracji w tym rejonie. Badania idą w dwóch kierunkach: kompletowanie dalszych relacji osób związanych z ruchem oporu oraz penetracja dostępnych materiałów archiwalnych. Trzeba tu powiedzieć, że szczegółowe badanie problemu walki z hitlerowską przemocą na terenie Pomorza Zachodniego w czasach drugiej wojny światowej wymaga jeszcze długich studiów. Zapał i chęci szczecińskich regionalistów, rekrutujących się z absolwentów szkół wyższych, należyce zostały ocenione przez doc. dr. Bogusława Drewniaka, dyr. Woj. Archiwum Państwowe w Koszalinie oraz Marka Sądewicza, który pierwszy poruszył ten problem w swojej książce „Oflag”. Wielokrotne konsultacje udzielane przez doc. dr. B. Drewniaka na temat metodologii i zakresu zbierania materiału wydawniczo pomogły w pracy. Przyjazdy Marka Sądewicza do Szczecinka także stanowiły istotną pomoc dla szczecińskich regionalistów.

WERSZ DYDAKTYCZNY MARII K.

Tak iść za wzrokiem po krańce widzenia
potem wracać Tak Do zagubienia wracać w siebie
Drżenie liścia opowie jak nas nieskończoność zawiewa
aż do szpiku samotności I rozlega się płacz
I znowu cierpimy rozległej niż na odległość między słowami
Czym jesteś o poezjo Oto odwieczne pytanie
Ratunkiem czy piaskiem w oczy na drogach naszego lęku
Wszystko jedno przecież i tak wiem że o świecie
znowu zbudzi mnie smutek wczorajszego zmierzchu
i nie można przespać tęsknoty do tej która
Ale można zagubić ufność w słowa i milcząc zawisnąć na gwieździe
A jednak ciągle pragnąć by nawet tę gwiazdę wysłowić
i nowym słowozbiorem zabłysnąć Lecz rozlega się płacz
O jak to drżenie liścia opowiada i jaki to wiatr
Lecz samotność nasza ma wciąż niewysłowione powiązania
z nią i z nimi od których nie wymówić się i nie rozwiązać
Więc jutrzejszy świt będzie mimo wszystko pierwszym
pytaniem jest tam kto I znów za wzrokiem po krańce
widzenia iść I siebie nie w sobie odnaleźć
Więc płacz ocalonych rozlega się między słowami
Więc już więcej nie pytać poezjo czym jesteś
Jesteśmy tu aby zaświadczyć zespolenie naszej samotności
i aby ją udźwignąć jak wspólny nieboskłon

Feliks Chudzyński

ŚWIĄTEK U DROGI

kapliczką desek
po pierś w makach, czerwony
skąpany
drewniane skrzydła rozwierasz
gdzie owocarnia
kmiotków trzoda dojna
stokrotna nadziei modlitwa
drwa czarnego święty kołodziej
co noc odfruwasz razem z ptakami
gdzie góra święta zakonnice matka
zielenią was poi
kwiecąc wokół
ty tam misjonarz
czarnych skrzydeł przeor
wiatr siejesz

ATLANTYDA

Dnem, gdzie w mchów pleśni dymne jałowce
jak atomowe kłębią się grzyby,
w ślad za podniebnym mknie odrzutowcem
cień latający upiornej ryby,
oksydowaną pletwą rozcina
golsztromy tlenu, powietrzne wody,
w chmur koralowych miga gestwinach,
nurkuje w algi, w seledyn łodyg
i znów wypływa w pobłyskach skrzeli,
by zdławić pętlą chropawej pieśni
nas — lokatorów mszystej topieli,
nas — atlantydy mieszkańców leśnej.
Cesarskim cięciem tnie błyskawica
gąszcz wodorostów, gasnące morze
w głęb, gdzie w rdzach wrzосу, w meduz
ławicach
śliskich gałęzi suną węgorze
i my — atlanci po dnie wieczoru
ścigani cieniem ryby skrzydlatej
niczym ślimaki do bunkrów skorup
w drzwi uciekamy pokracznej chaty.

Mieczysław Orski

OWOC

Czy mógł ktoś przewidzieć, że ta ptasia łódka,
ta sylaba w złoczonej łupince przeszłości
której krągłość znał już chciwy pyszczek
pszczoły,
niecierpliwie czekana przez obrzmiałe
wargi —
Nikt nie przypuszczał, że głuchej gałęzi
knują się takie brzuchate pomysły,
że to było pomyślane
w korzeniach gardła — nikt tego nie
przypuszczał.
Więc czy mógł ktoś przewidzieć, że ten złoty
owoc
zabrzmi najczyściej w niemym wnętrzu
drzewa?

TWIERDZA U WISŁOUJŚCIA

(DOKOŃCZENIE ZE STRONY 4)

artylerii, szturm SS-manów. Korespondent donosi światu, że zaczął się totalny atak, z morza, lądu, powietrza, że nawale przeciwstawia się garstka obrońców.

Tak to był totalny atak na świat. Od dwudziestu lat, w każdą rocznicę Września, płyta nadawana jest przez Rozgłośnię Gdańską Polskiego Radia. Bez komentarzy. Po prostu — memento.

Nasi stoczniovcy dawno pocieli na złom wrak hitlerowskiego pancernika. U Wisłoujścia, na żołnierskich mogiłach Westerplatte, tych którzy go bronili i tych którzy

je wyzwolili, rosną młode dęby nowego tysiąclecia, zasadzone przez leśników całego kraju.

Dobiega końca odbudowa zabytkowej twierdzy. Z jej latarniowej wieży widać wskrzeszone z ruin gotyckie kościoły renesansowe ratusze, barokowe kamieniczki, nowoczesne wieżowce, elektryczne dźwigi, statki wielu bander... panoramę nowego Gdańska. Na myśl przychodzi poetycki wieczór w klubie studentów Wybrzeża, gdzie Władysław Broniewski mówił gdańskim żakom...

...Popłyni od źródeł po ujście
Wistyl-matki,
niejedno porwie i skusi cię,

a na ostatku,
kiedy z wiślanej mierzei
zobaczysz morze
pomyślisz: Dzieją się dzieje...

...A' jam nie Smętek, jam nie Żeromski
nie Fantazy, nie Zadumaniec,
ja jestem kamień, który do Polski
z szanica rzucali na szaniec.

...Od źródeł Wistyl aż po ujście,
od źródeł życia aż do śmierci,
aż do utraty tchu jam niósł cię
na czułych skrzydłach moich wierszy.

...Od wież wawelskich aż po gdańskie,
od Nowej Huty aż po Stocznie
i w przeszłość — aż po gród pogański
umiłowaniem — po widoczne...

E. M.



RYS. R. STRYJEC

ZĘBACI

BOGDAN JUSTYNOWICZ

Helena poczuła się wobec gospodyni trochę jak przedstawicielka wrogiego i zwycięskiego obozu. Siedemdziesięcioczerolletnia Zębata nie mogła wprawdzie wiedzieć o tym, że swoje pierwsze piętnaście lat przeżyła Helena, póki żyli rodzice, w suterenie, że potem bywało różnie i raczej gorzej. Ale stara wiedziała: jej lokatorka „pracuje na państwowej posadzie, z bolszewikami”. Patrzyła więc na Helenę przestraszona, cicha, zgodna we wszystkim i całkiem zrezygnowana. Walące się co dzień niedobre sprawy przyjmowała spokojnie, naturalnie, jak zwykle przeciwności losu, które człowiek zawsze spotyka. „Obok skondensowanego, dużego doświadczenia życiowego, widocznie odżywają u człowieka w tym wieku pewne cechy wyobraźni dziecka...” — i Helena, która w tym czasie uciekała przed wszelkimi znajomościami, unikała starej, jej trosk — szczególnie.

Okazało się wkrótce, że nie jest to, tak ze wszystkim, możliwe.

Coraz częściej, siedząc w wiklinowym fotelu tuż koło pieca, przeważnie nad książką, odpowiadała na niegłośnie pukanie do drzwi:

— Proszę!

Zębata, troska i czern, stawiała we drzwiach.

— Chciałam tylko powiedzieć...

Garbiła się, jakby pod ciężarem brudnej watowanej kurtki. Z watówką tą, spostrzegła Helena, stara nie rozstawiała się nigdy, od miesięcy przynajmniej.

I tak, z czasem, Helena dowiadywała się: Zębata miała w miescie jeszcze trzy kamienice, ale teraz to co z tego, że ma? Teraz jest stara, słaba, i w ogóle mało rozumie. Kiedyś, tak, radziła sobie, musiała radzić, żeby to wszystko szło jak należy. Nie ze wszystkimi można żyć po przyjacielsku, a już najtrudniej bywa z lokatorami. Umiała i krzyknąć i postraszyć, a nawet, jak trzeba było, wezwać policjanta. A zawsze, we wszystkim sama sobie radziła. Przed trzydziestupięciu laty rozwiodła się, po roku małżeństwa. Nie był to dobry człowiek, jej mąż. „Tak, tak...” Siadywała zwykle pod piecem i zazdrościła ciepła, którego zresztą w pokoju nie było za dużo. Helena przynosiła jej nazajutrz wiadro węgla ze swego urzędniczego deputatu. Czasem narzekała Zębata na drożyznę i brak żywności w sklepach — Helena odstępowała starej nie wykorzystany do końca, postrzępiony kawałek swojej kartki żywnościowej.

Było widoczne, że gospodyni wyraźnie lgnie do lokatorki. Już co dzień, co wieczór, zamykając za sobą starannie drzwi — „kogo i czego się ona boi” — wychodziła Zębata, szepcząc:

— Czy to prawda, pani wie, że wszystko mają odbierać?... A wiesz co mi się dzisiaj śniło?... Powiedz dziecko, co ja mam robić?

A czasem wyciągała, za ręce wyciągała Helenę do salonu, który zatrzymała dla siebie. Odsłaniała z pokrowców czerwone, pluszowe fotele. Częstowała herbatą. I rozwijała, powtarzała swoje historie. Siwa, zgarbiona pod czarną watówką, woskowa, gasnąca.

— Zimno tu u mnie — wtrącała czasem.

Złote ramy gasiły kontury jakichś pejzaży czy portretów. Gdy Helena pstrykała palcem w plusz mebla, unosiła się szara chmurka. Pachniało, zdawało się jej, pluskami. Dobrze trzy tygodnie tępiła je w swoim pokoju. „Spaliłabym cały ten zagrzebiony dom. Powinnam tej starej nienawidzieć”.

— Przyniosę jutro wiaderko węgla — mówiła wstając z fotela. „Nienawść. Jej warunek konieczny — aktualność. Nie było go”.

Ktoregoś dnia Zębata, płacząc oświadczyła:

— Dzisiaj znowu przychodzili z kwaterek. Zaglądali wszędzie, mierzyli miarkami. Muszę zaraz wziąć jakichś lokatorów, a nie — to wpakują mi sami jakąś rodzinę albo i dwie. A co to będą za ludzie, czy to wiadomo dzisiaj? Co robić? Obracasz się między swoimi, musisz wiedzieć, powiedz! — żądała.

„Jakimi swoimi”... Helena najchętniej zamknęłaby się na trzy spusty w pokoju z własnymi kłopotami, planami, znużeniem. Poza tym nie rozumiała dlaczego stara tak broni się przed przyjęciem do mieszkania ludzi, którzy mieszkać nie mają gdzie. Tym bardziej, że od czasu odejścia służącej, „ech, klempa jakaś”, wyraźnie bała się sama przebywać w swoim pokoju: „dobrze, że ktoś jest za ścianą”. A tu jeszcze pięć pustych pokoi. Ale może to tylko Helena była przyzwyczajona do ludzkiego tłoku i braku miejsca w rodzinnej suterenie i w późniejszych, nieswoich mieszkaniach.

— Niechże się pani nie martwi, mogą się zdarzyć jacyś porządni, spokojni ludzie. Może sama poszukam kogoś — powiedziała.

— Nie, nie — jakby podejrzenie w zaczerwienionych oczach Zębatej. Ja już coś wymyśliłam. Mam żonatego bratanka, porządnego, żamożnego człowieka. Też Zębaci. Mogą, namówię ich, odstąpić korzystnie swoje mieszkanie komuś ze Wschodu, a sami sprowadzą się do mnie. Muszę to jak najszybciej omówić z Romanami. Muszę się spieszyć. Przecież twoi czatują na mnie. A z rodziną, to też różnie bywa. Czy mogłabyś być przy tej naszej rozmowie?

Zdecydowała się. Szła teraz najkrótszą drogą na pocztę. Bardzo ciepło popołudnie. Dotąd nosiła zimowy płaszcz, na razie lżejszego nie miała. Było jej gorąco. „Dostanę przydziałowy materiał i natychmiast szyję płaszcz”. Była zmęczona. W Urzędzie Repatriacyjnym, w PUR miała dziś, jak się to mówi, urwanie głowy — i teraz czuła ją ciężką i zaczadzoną... Wdowa z trojgiem dzieci, wysiadła o stację za wcześnie, płacze, błaga o ciężarówkę na rzecz. Obywatel, były obywatel ziemski, też z kresów, piekli się, grozi, żąda odszkodowania — parowóz ściągnął mu z peronu i rozbił kilka kufków. Dziesiątki, dziesiątki ludzi. I ta historia...

Wystraszyła się. U wylotu ulicy wygrzebanej w czerwonych ceglanych rumowiskach, na skraju zamieszkałej dzielnicy, tuż koło poczty, zatrzymała ją czterech. Dwaj żołnierze i dwaj robotnicy, z wyglądu. Wszyscy z automatami przez pierś, u cywilów białe-czerwone opaski na rękawach. Musiała wylegitymować się. Zapytali także, czy nie widziała, teraz, jakichś, którzy uciekali.

— Nie. Rzeczywiście nie widziała nikogo takiego i cieszyło ją to. We krwi już miała odruch, który kazał jej zawsze w takich wypadkach zaprzeczać; po prostu upiekło się pytanie: „czy i tym razem — także?” Zasalutowali, chłopiec w cywilu, lewa ręka do łokcia obandażowana, domagał się jeszcze, trochę dowcipnie, trochę beczelnie randki.

— No to gonimy, chłopcy — ponaglił, sierżant chyba.

— No to uciekam — odpowiedziała. „Kujawskie miasteczko. Milicjant — ranny. Pogryziony. Zębaci. Rodzina Zębatych...”

Rok. Rok temu i miesiąc przydzielono jej pokój w willi starej Zębatej. Pokój brązowo wytapetowany, gipsowa rozeta na wysokim suficie, kafele pieca z błękitnymi sylwetkami rybaków, okrętów i latarni morskich, duże okno z widokiem na ulicę i płot na przeciw, na nim afisz poświadczający jej prawo do mieszkania tu właśnie. Zimą, zdarzało się, że aż cierpiała z powodu chłodu w tym pokoju, ale tę porę roku traktowała — jakby była wyjątkiem — jako przejściową, szczególnie tymczasową, chętnie nie brała jej w ogóle pod uwagę. Poza tym ceniła tu sobie ciszę i spokój, którego nie przerwało nawet wprowadzenie się krewniaków staruszek; karcili dzieci za hałaśliwość, zawsze zamykali drzwi od pokoi, jak mówili — starają się, żeby ich było jak najmniej.

Stara Zębata zaraz, pierwszego dnia po przeprowadzce, asystując przy rozpakowywaniu walizki powiedziała:

— Młoda jesteś, a ja już jedną nogą w grobie.

Przy tej ich rozmowie Helena nie była. Nawet specjalnie w tym dniu wróciła później do siebie. Ta sprawa niewiele ją obchodziła.

Za kilka dni zobaczyła jak raz i drugi obróciła sprzed domu ciężarówka z meblami. Samochód z olbrzymim napisem „Dobrolin” na obu burtach. Zębaci prowadzili poważnie hurtownię past do obuwia. Potem słyszała od ulicy, jak dwaj szóstoklasiści — Zębaci, w domu bez przerwy uciszani i hamowani, obejmowali przewodnictwo nad chłopakami z sąsiedztwa. Rozdawali pliki „rozkładów lekcji” w kolorowym nadrukiem: „Dobrolin pasta najlepsza i basta”. Fachowo opowiadali o motocyklu, który niedawno sprzedał ich ojciec. A już ze wszystkim ujęli nowych kolegów tym, że potrafili robić z fosforu ogłuszająco eksplodujące bomby — chłopcy rzucali je zza węglów pod łapy jamników, spacerującemu regularnie pod wieczór z jakimś sędziwym panem. „Znamy bunkier, gdzie wszystkie ściany świecą się, fosfor tylko zdrapywać...” Któregoś dnia jakiś niezły i zbyty krytyczny kolega Włodka Zębatego umieścił na froncie domu olbrzymi napis — kopciem ze świecy napisał: „Bogacz Zębacz Wołodaja miał w Koluchach motocykl”.

Helena poznała najpierw służącą Zębacych.

— Państwo kazali przeprosić, dzieci śmieją pod drzwiami. Chciałam zamieść. A może i pokój? Mogłabym też palić w piecu, pani wcześniej wychodzi do pracy — rozglądała się po pokoju.

— Nawet wcale nie zauważyłam, że ktoś śmieci. A w piecu, to byłoby bardzo dobrze gdyby mi pani paliła, co do ceny — to jakos się zgodzimy.

— Nie, ja po sąsiedzku — powiedziała.

— Ależ, w żadnym razie.

— Państwo mi kazali, oni już o mnie troszczą się dobrze, nic mi nie brakuje.

— No jeśli na pewno tak...

Bodaj nazajutrz poznała, w domu była jedna kuchnia, małżeństwo Zębacych. Ona w różowym sweterku, sama okrągłość, kobiecość, łagodność, bez jednej ostrzejszej linii. Przedstawiała Helenie męża. Pan Roman, lat trzydzieści i kilka, błyszczące cholewy butów, beżowe spodnie galifet, marynarka — samodziś, półokrągły kołnierzyk koszuli, malowany krawat. Twarz, trudno określić, ale na pewno solidna. Był szarmancki. Całując Helenę w rękę, napomknął coś o demokracji i cmok nonsensie. Potem powiedział, że oni, Zębaci będą mieli do niej wielką prośbę i popatrzył na żonę. Małżonka skarciła go, że „tak nieładnie, Roman, że nie można tak od razu, że może potem”. Helena zabrała wreszcie swój czajnik z wrzątkiem na popołudniową herbatę i wyszła z kuchni, tuż za nią wsunęła się do pokoju Romanowa z talerzykiem świeżo smażonych racuchów. Wymawianie się nie pomogło oczywiście.

Tygodnie po prostu migały Helenie. Od czasu do czasu oglądała się za siebie, w tę niedaleką, prawie najbliższą przeszłość. Oceniała ostatnie pół roku, trzy, dwa, ostatni miesiąc. Łagodniało to, czego nie mogła znieść, co bolało. Właśnie: bolało, stwierdzała to nieraz w chwilach, kiedy odczuwała siebie jak kogoś obcego z daleka i bardzo spokojnie. On uciekł z tego miasta. Na pewno nigdy go już nie spotka, może nawet nie żyje. Pomagały wieczorne godziny w „Szkołę Kupieckiej”, egzaminy, nadrabianie programu, książki — „kto mógł tak sproszkować tę książkę” irytowała się brakiem stron w „Historii filozofii”, którą zaczęła czytać ze względu na frapujące nazwisko autora — Dzieduszycki hrabia Wojciech... Przyszła druga depesza z Wybrzeża — oba telegramy od Jadwigi brzmiały: „Mieszkanie i praca jest, warunki dobre, do omówienia, czekam, czekamy”. „Nigdzie stąd nie wyjedzie, ale... Trzeba się zastanowić”.

Wizyty starej Zębatej stały się teraz rzadsze, rodzina roztoczyła nad nią opiekę i nie pozwalała „przeszkadzać pani Helenie”.

— Proszę wybaczyć, wiadomo jak to starzy, chorzy ludzie — mówiła Romanowa, wyciągając łagodnie i stanowczo starą, gdy ta zasiadła u Heleny.

Stara najczęściej powtarzała swoje:

— Ciężko jest. Wszystko drogo. Trudno dostać — czasem wyjdę do miasta i na próżno. Pamiętam, po pierwszej wojnie...

— Proszę wziąć moją kartkę, została jeszcze puszka mleka i koniny.

— Dziękuję, jesteś dobra. Dziękuję, ale jesteś nieoszczędna, tak nie można z obcymi ludźmi, nie zawsze tak można — sprostowała się. — No, ale młoda jesteś, życie masz przed sobą, a ja już jedną nogą w grobie... Moi dbają o mnie, zawsze to moi, ale wiadomo, że wszystkim dzisiaj ciężko. Niepotrzebnie trzymają służącą, klempa jakaś — machnęła ręką.

Siedziała przygarbiona ciężarem swojej watówki. Już kiedyś zwierzyła się Helenie, że zaszyła w niej trochę kosztowności — „niedużo, tyle co ocalało”. Więc rzeczywiście była to ciężka kapota, można się było pod nią pochylić. Twarz starej była pożyłką na ciemną kość, z rysunkiem głębokich spękań — zmarszczek. Szklanka w jej ręku drżała.

— Koniecznie chcą — mówiła — żebym się leczyła, w szpitalu. Moje kości, serce, moje nerwy. Mają znajomych lekarzy, leczyliby za darmo, bo nie stać mnie ani młodych, na takie koszt. Ale jak to sobie moi bratankowie wyobrażają — kto mieszkania, rzeczy będzie pilnował?...

W ostatnim tygodniu historia weszła w fazę kulminacji i szybko rozwiązała się. W nocy z niedzieli na poniedziałek stara Zębata widziała ducha. Był to jej mąż nieboszczyk, „zły człowiek”. Poznała go, cały świecił zielono, wszedł, stanął w progu, pogroził

ręką i znikł. Romanowie, którzy szczęśliwie zaraz potem, znaleźli się przy niej, zastali staruszkę nieprzytomną.

— A do szpitala, mamy przyjaciół lekarzy, darmo, iść nie chce. Tłumaczymy, że trzeba, nic. I co pani na to?

— Myślę, że macie państwo rację — powiedziała Helena. Potem Zębata ociągając się, oświadczyła, że ona i mąż mają do Heleny wielką prośbę, z którą od dawna się noszą... Chcieli zamienić jeden ze swoich pokoi, na pokój Heleny, żeby być bliżej chorej. Zgodziła się. Dziewczyna Zębacych przeniosła nazajutrz jej walizkę, która była zresztą tak samo lekka jak i przed rokiem. Nowy pokój miał balkon, była wiosna więc cieszyło ją to. Na zewnątrz kwitnące ogrody. Czerwony dach sąsiedniej willi. Tam jakaś dziewczynka, którą wołano Faustyna, prawie bez przerwy grała na pianinie Szopena.

Dzień przed pójściem do szpitala stara odwiedziła Helenę. Rozsypywała cukier z łyżeczki tak bardzo, że musiała jej sama osłodzić herbatę.

— Czy wiesz co przeżyłam ostatniej nocy? Co przeżyłam? Mąż nieboszczyk przyszedł mnie dręczyć.

Dalej opowiadała jak groził jej, przeklinał ją, że cały świecił na zielono, wyglądał akurat tak jak zmarli, którzy w letnie noce powstają z grobów, o czym Helena powinna przynajmniej słyszeć.

Uspakajała starą, mówiła, że jest podenerwowana, zmęczona, wreszcie poradziła stanowczo:

— Jednak powinna się pani zdecydować na ten szpital, przecież to by nic nie kosztowało — poparła argumentem radę.

— Chyba tak, ale ty mi jednak nie wierzysz, a on dręczy i przychodzi do mnie pierwszy raz. Tylko, że ja bałam się komukolwiek mówić... — i była prawie obrażona na Helenę.

Przyszli młodzi, wyciągnęli Zębata od Heleny, prosząc ją żeby była bardziej stanowcza ze starą, nie pozwalała sobie zabierać czasu, „jest ciężko chora, ale oni ją wyleczą, mają dobrego przyjaciela — lekarza”.

Tego wieczoru Zębacych odwiedził ów przyjaciel. Im później w noc, tym bardziej nasilały się głosy za drzwiami pokoju Heleny. Z rana młoda powiedziała:

— Był wczoraj nasz doktor, załatwił miejsce dla stryjenki, dzisiaj ją odwozimy.

Nie odpowiedziała. Wciąż dźwięczał jej głos tego przyjaciela Zębacych: „To tyle czasu się męczycie? Pottrzymałbym trzy miesiące starą na narkotykach...”. Myślała: „Żart? Przesłyszałam się? Kogo by to miało dotyczyć? Poza tym oni rzeczywiście opiekowali się starą. Nigdy niczego podejrzanego nie widziałam...”

A Zębaci zawsze starali się być mili, prawie nadskakujący, zwłaszcza poprzez swoją służącą.

— Ale państwo mówią, że ich pani nie lubi, nie dowierza. — mówiła Jadwiga. Była to osiemnastoletnia wiejska dziewczyna, bardziej zapracowana niż myśląca. Wobec Zębacych miała dług wdzięczności. Otóż rok temu, spędzając wakacje na wsi, u tych samych co prawie co roku od przedwojennych czasów, zabrali Zębaci dziewczynę do siebie, do miasta. Wyleczyli ją — znajomy Zębacych, okulista, usunął chirurgicznie Jadwidze zęza. Miała teraz piękne, duże, błękitne oczy patrzące wprost. Została już u Zębacych. „Pomagała przy domu”.

Jadwiga regularnie zdawała Helenie sprawę ze stanu zdrowia starej Zębatej. W środę, pierwszego dnia mówiła:

— Byłam w szpitalu, zanosila jedzenie, pani miała apetyt, czegoś ostrego chciała.

— Pani starsza dzisiaj nic nie jadła bardzo marnie wygląda, powiedziała nazajutrz. A trzeciego dnia:

— Dzisiaj pani mnie całkiem nie poznała, źle z nią.

W sobotę po południu zakomunikowała:

— Pani umarła — i popłakała się.

Helena i bez tej informacji czuła, że coś się stało. W całym domu postukiwania w ściany, skrzypienie i rumor meblami, chłopcy wypychający na korytarz porożowane fotele. On, ona, przemysłali także czasem przez korytarz, obcy pakułami i tyńkiem.

Gdy zapukali do Heleny, wyglądali na przybitych nieszczęściem ale opanowanych. Zębata powiedziała:

— Wszyscy musimy umrzeć, właśnie tłumaczę mężowi. Oboje byliśmy bardzo przywiązani do staruszki. Życie drogie, a i śmierć też kosztuje. Stryjenka niczego nie zostawiła po sobie...

Stawali się jacyś niespokojni.

Dzisiaj wróciła z pracy i zastała ten prezent. Na stole piękny kupon bielskiej wełny na płaszcz. W progu właśnie stanęła Jadwiga. Helena zapytała:

— A to co?

— To państwo kazali pani to zanieść, bardzo prosili żeby przyjąć to...

— Odnies to im. Jadwiga słyszała! No już! — krzyczała na zawsze wolno reagującą dziewczynę. Jadwiga wzruszając ramionami wyniosła się z materiałem.

...Helena nadała telegram w okienku, depeszowała: „Przyjeżdżam”. Zmierzczało, dzwony z sześciu kościołów — za rzeką i po tej stronie. Staruszki i dzieci spieszące na majowe. Zapach drzew i kadzidła. Oficer z szablą prowadzi żołnierzy, chyba robią próbę defilady, oddział śpiewa marszowo: „I ty patrzysz w moje oczy, mówisz jadę w inne strony” — „Wróc do Sorrento”. W cukierni nikogo znajomego na szczęście. „Pomścimy” tytuł artykułu w gazecie, pisać o zamordowaniu tutejszego sekretarza. „Więc co do mnie, zdecydowane — uciekam... Kogo tamci gonili?... Ten ranny — pogrzyziony wesółek...”



Studiuje na Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie, od 18 lat mieszka w Sopocie — jest to więc „autentyczny” debiut Wybrzeża, młodego człowieka, który naukę wrażliwości i umiejętności posługiwania się tworzywem poetyckim posiadał na tych ziemiach, w naszym czasie. Jest to życiorys zapewne nieskażony piętnem wojny (tak właściwym pokoleniu trzydziestolatków), bo pamięć nie zanotowała smutnych doświadczeń tamtych lat. Dlatego też być może silniej pracuje wyobraźnia, wyraźniej rysuje się w wierszach Jacka Kotlicy liryczny obraz pejzażu.

DEBIUT
DEBIUT
DEBIUT

JACEK KOTLICA

ODBIERANIE ŹRÓDŁA

u wodopoju przeoblekam zamysł
— to co chłoneły ryby i zwierzęta
w treść przenajświętszą, w tę treść zdatną
słowu
na miejsce blasków odjętych od gwiazdy
Jak suchą trzciną — tak moimi usty
jeziora nakluwam napięte do granic
— Czy jednak trafię w głąb tego niewodu
gdzie szkielet ryby tuż mego embrionu

MOST WISZĄCY

aż ten most zawiesili
jak w próżni
tym powolnym misterium spadania
rzekłbyś —
krawędzie obsunięto o kilka tonacji
funkcjonalność jego doszła
niejako
do zera



MARTWE MORZE

tego morza nie wstrzymać deszczem
ani falą rozsunietą do dna
tamta ryba i tak musi umrzeć
jeszcze pyskiem złapawszy powietrze

odeszła gorączką niedosytu
kropla ciszy zamienia się w parę
na ogrodów miejsca niestrzeżone
zstępuje szarańcza
owad niepokoju

w śnie za wysokim ktoś ręką
niespokojnie żywą
połamał tafli cieplarnianych niebo:
każde źdźbło trawy każdy liść
podniesiony do oczu
nie odbarwią
pamięci kredy

potem będą noce jak ryby
drugich brzegów
idealne piękno
i codzienne przesilanie szeptu
żeby imię uczynić modlitwą
potem będą słowa jak wiersze
ciche requiem strzępy passacalii
i powolne zstępywanie w morze
coraz głębiej
i coraz dalej — —

KOŁYSANKA

To koniec dnia — kwiaty więdną
w dłoniach
echa wracają jak miedziane ptaki
w rytm twoich oczu perły całodziennych
trosk
potoczyły się — i zapadły w kwiaty
lecz jeszcze zaśnij: zmierzch usypia
dzwony
spadają dźwięki aby stężeć w brązach
Kruk rozpiął skrzydła — lecz poniechał
lotu
ledwie powietrze zaczerniwszy piórem

więc jeszcze zaśnij: księżyc czesze zboża
na brzozech kory zastygają w marmur
drwał zaciął drzewo — i spowolniał
w ruchu
Żniwiarzom kosy wypadają z dłoni — —
Już czas — przebudzam starogreckie
chóry:
noc świta — świtem klawiatury



RYS. J. SPIEWAK

SEKRETARZ ICH KSIĄŻĘCYCH MOŚCI



BARNIM IX

W jednej z komnat zamku książęcego w Wołogoszczy do późnych godzin nocnych pracował mąż nie tyle uczony, ile pełen dobrych chęci stwórczości dzieła, które by utrwaliło świetność dziejową Pomorza. Od wielu lat, jeśli nie był w podróży, zamykał się w komnacie wypełnionej księgami i dokumentami, studiował je, segregował, robił notatki. Od czasu do czasu zamykał księgi, odkładał pióro i na wiele godzin zamyślał się wpatrzonego w szczelinę okna, przez którą wdierał się zapach morza.

Pewnego dnia drobnym pismem zaczął pokrywać arkusze czystego papieru. Pisał najpierw pod dyktando serca, aby żale swoje i tęsknoty przełać na papier, a po przez owe żale i tęsknoty przedstawić siebie — Pomorzanina z krwi i kości. Z gotyckich liter, układających się w słowa i zdania niemieckie, wylaniała się dusza słowiańska.

„A chociaż obecnie imię i ród Wendów są w takiej pogardzie, że jeden drugiego dla obelgi wyzywa *Wendem* albo *Słowianinem*, co jest jedno, to jednak my nie chcemy się wstydić tego pochodzenia. Bowiem na całym świecie nie znajdziesz rodziny ludów, która się dalej rozszerzyła, tyle królestw i księstw podbiła i obecnie jeszcze trzyma, jak właśnie *Wendowie*. Znajdziesz też ledwie drugi naród, który dokonał tak wielkich czynów... A imię ich jest tak sławne i wielkie, że historia świata jest jego pełna...”

Dlaczego zatem milczą o Pomorzanach księgi uczone, a jeśli nie milczą, to przedstawiają ich w złym świetle? Zadumał się znowu nasz kronikarz, lecz już po chwili pióro jego kreśliło nowe zdania:

„Chcemy teraz czytelnikowi zwrócić uwagę, że bez wątpienia więcej czynów bohaterskich dokonali Pomorzanie, Kaszubi i Ruganie, niż jesteśmy w stanie opowiedzieć, ale niestety wśród tych Wendów nie było nikogo, kto by je opisał... Ale ich wrogowie podając się tego musieli, a ci, jak łatwo zauważyć, co najlepszego milczeniem zbyli i — o ile mogli — chwalić i cześć sobie przypisali”.

Autorem tych odważnych, pełnych aluzji słów był pierwszy kronikarz pomorski, Tomasz Kantzow. Był on rodowitym Pomorzaninem, urodził się bowiem około 1505 roku w Strzałowie, w rodzinie zasiedziającej na Pomorzu. W 1526 roku zapisał się na uniwersytet w Roztoce, a od 1528 roku objął urząd sekretarza kancelarii książęcej Jerzego I (1493—1531) i Barnima IX (1501—1573). Najpierw przebywał Kantzow w Szczecinie, później w Wołogosz-

czy, gdzie miał stosunkowo dobre warunki do pracy.

Tomasz Kantzow cieszył się uznaniem i zaufaniem książąt, a szczególnie Barnima IX, który prowadząc tradycyjną, umiarkowaną politykę pomorską, dbał o dobre stosunki z Polską. Taka polityka odpowiadała Kantzowowi i nie jest wykluczone, że spisując dziejów pomorskich zamierzał on tę politykę podbudować, jako naturalną konsekwencję biegu historycznego.

Po śmierci Jerzego I Kantzow przeżywał ciężkie chwile; oto patrzył, jak z trudem zjednoczone przez Bogusława X Pomorza, uległo znowu podziałowi na dwa księstwa: szczecińskie, w którym rządził Barnim IX i wołogoskie, oddane Filipowi I, synowi Jerzego I. Nowy pan Kantzowa nie miał już tego zrozumienia dla spraw słowiańskich, co Jerzy i Barnim, bowiem prowadził zupełnie odmienną politykę. Filip I (1515—1560) wychował się w Niemczech i w duchu niemieckim, 27 lutego 1536 roku ożenił się z Marią, córką elektora saskiego Jana, a ślubu udzielił im sam Marcin Luter. Filip nakłonił Barnima do oficjalnego wprowadzenia reformacji na Pomorzu (1534), przystąpienia do Związku Szmalckaldzkiego, skupiającego protestantów niemieckich i wreszcie otoczył się niemieckimi dworzanami. W takiej sytuacji nasz kronikarz miał utrudnione zadanie, całą nadzieję jednak — i słuszenie — pokładał w Barnimie IX.

Kantzow pisał kronikę Pomorza niemal od pierwszych dni objęcia kancelarii książęcej, ale że nie był dostatecznie wykształcony, napotykał na duże trudności w selekcji materiału i w koncepcyjnym układzie zamierzonego na dużą skalę dzieła. Braki w wykształceniu postanowił uzupełnić na uniwersytecie w Wittenberdze, gdzie od 1538 roku przebywał 4 lata. W drodze powrotnej do Wołogoszczy, zmarł w Szczecinie 25 września, 1542 roku.

O wysiłku Kantzowa i dążeniu do doskonałości świadczy fakt, że pozostawił on rękopisy swego dzieła w trzech różnych wersjach. Pierwsza wersja zawiera historię Pomorza od najdawniejszych czasów do 1536 roku i nosi tytuł: „Pochodzenie, starożytność i dzieje ludów Pomorza, Kaszub, Wendów i Rugii”. Została ona napisana w języku dolnoniemieckim. Druga wersja, doprowadzona do 1523 roku została napisana w języku górnoniemieckim, czyli literackim. Trzecią wersję znamy pod mianem „Codex Putbusensis” (ponieważ rękopis znajdował się na zamku książęcym w m. Putbus na wyspie Rugii). Napisał ją Kantzow w języku literackim

i prawdopodobnie zaopatrzył tytułem (podaje za wydaniem Kosegartena z lat 1816—1817): „Pomerania albo pochodzenie, starożytność oraz dzieje ludów i ziem Pomorza, Kaszub, Wendów, Szczecina, Rugii w czterech księgach opisane przez Tomasza Kantzowa...”.

Żadna wersja kroniki nie została wykończona przez Kantzowa, o czym świadczą jego liczne notatki i uwagi na marginesach rękopisów. Niemniej jednak rękopisy nadawały się do druku, ale na ujrzenie światła dziennego musiały czekać prawie 3 wieki! Dopiero w początkach XIX stulecia poszczególne wersje (dwie pierwsze pod tytułem „Chronik von Pommern”) wydali: Kosegarten, Böhmer i Medem. W latach 1897, 1898 i 1908 ponownie wydał wszystkie wersje w krytycznym opracowaniu profesor gimnazjum miejskiego w Szczecinie, Jerzy Gaebel. Z przykrością należy stwierdzić, że żadna wersja kroniki Kantzowa nie została przetłumaczona na język polski i tym samym nie została udostępniona szerszemu czytelnikowi. A szkoda, bo wynurzenia Kantzowa czyta się z zainteresowaniem, ma się wrażenie obcowania z bliskim przyjacielem, chociaż on od czasu do czasu sprawia nam przykrą niespodziankę głoszeniem nieprawdy. Z pewnością pod wpływem księcia Filipa I lub swoich wykładowców w Wittenberdze, Kantzow zmienił niektóre partie kroniki lub złagodził zbyt optymistycznie wyrażone opinie o słowiańskim obliczu Pomorza. Te jednak opinie, które pozostawił, wystarczająco dowodzą o jego pomorskim patriotyzmie.

Mimo różnych usterek, dzieło Kantzowa jest przede wszystkim dokumentem, jest obrazem Pomorza Zachodniego odtworzonym ze źródeł pisanych lub przekazanych na podstawie własnych obserwacji. Nie ma prawie dziedzin, które by Kantzow nie opisał, albo co najmniej o niej nie wspominał. Tak na przykład cenę są dla nas uwagi Kantzowa o słowiańskim charakterze Słupska, w którym osiadło najwięcej szlachty opierającej się germanizacji i w którym to miście prosperowała szkoła ewangelicka, ciesząca się opinią najlepszej na całym Pomorzu. W tej szkole uczyli się młodzi ludzie z głębi Polski,

krzewiący w jakimś stopniu świadomość narodową wśród mieszkańców miasta. Wreszcie Kantzow określa mieszkańców Słupska mianem typowych Słowian, gdyż są zdolni, uparci, skorzy do bójek i za wszelką cenę dążą do wyróżnienia się w otoczeniu.

Ciekawe są uwagi Kantzowa o pomorskim rolnictwie, które w XVI wieku nieźle się rozwijało:

„*Kraj ten (Pomorze — T.B.) rodzi w nadmiarze zboże — żyto, pszenicę, jęczmień, owies, groch, grykę i chmiel, tak że w kraju nie zużywa się nawet dwudziestej części. Dlatego też wywozi się wiele żyta i siodu na zachód do Szkocji, Holandii, Zelandii i Brabancji, a chmiel i sól do Szwecji i Norwegii. Podobno znalazł się nawet mieszczanin, który w jednym roku sam wywiózł 400 lasztów ziarna, czyli około 10 tysięcy korey. Ponadto hoduje się w kraju dobre konie, duże i małe, wiele wołów, świń, owce i pszczoły. Sprzedaje się je w wielu krajach, kraj jest bowiem bogaty w łaki i pastwiska”.*

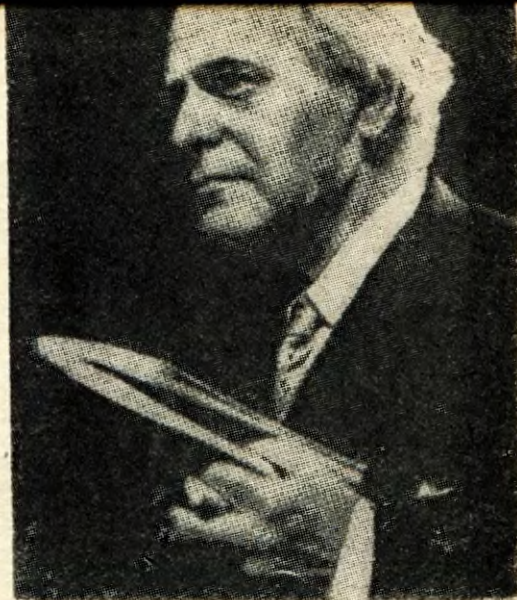
Ale jednocześnie Kantzow opisuje ciężką dolę chłopą, który był całkowicie uzależniony od swego pana:

„*Z powodu nadmiernego obciążenia pańszczyzną często nie mogą oni (chłopi — T.B.) wykonywać wszystkich prac w swoim gospodarstwie, dlatego też ubożęją i uciekają. Chłopów tych dotyczy następujące powiedzenie: służą oni tylko sześć dni w tygodniu, siódmego dnia muszą listy nosić. Zatem chłopci ci nie różnią się wiele od niewolników. Pan kiedy zechce może ich wypędzić, a kiedy chłopci lub ich dzieci chcą opuścić wieś i czynią to bez zgody swego pana... ściga on ich z odwrotem jako swoją własność”.*

„Kronika Pomorza” Tomasz Kantzowa, a zwłaszcza wersja zwana „Pomeranią”, zawsze jeszcze czeka na przetłumaczenie i naukowe opracowanie przez polskiego historyka. Potrafilibyśmy wydać Thietmara, powinniśmy więc wydać i Kantzowa, którego dzieło jest ważnym źródłem pozwalającym zapoznać się z problematyką pomorską w przeszłości. Tym bardziej, że wyszło ono spod pióra Pomorzanina, który nigdy nie czuł się Niemcem.

TADEUSZ BOLDUAN

POLSKA W ŻYCIU AUSTRIACKIEGO POETY



Lata wojenne 1914—1918 spędził Csokor jako żołnierz. W 1918 r. nastąpiło jego pierwsze spotkanie z Polską. W październiku 1918 r., kiedy po rozwiązaniu monarchii austro-węgierskiej, została utworzona w Krakowie przez Daszyńskiego, Witosa i ks. Skarbka komisja polska, przekształcona następnie w Rząd Zachodniej Galicji, Csokor właśnie tam przebywał. Było mu widocznie sędzone być obcym przy narodzinach nowo powstającego państwa polskiego.

Lata 1918—1938 przyniosły republice austriackiej największy rozwój twórczości Csokora. Na ten czas przypadają takie sztuki jak: „Czerwona ulica”, „Drzewo poznania” i „Towarzystwo praw człowieka”. Ta ostatnia była pierwszą sztuką Csokora wystawianą na pierwszej scenie niemieckiej w Teatrze Zamkowym (Burgtheater) w Wiedniu. W roku 1936 wystawiona była również w Burgtheater opracowana i przetłumaczona przez Csokora „Nieboska komedia” Zygmunta Krasńskiego. Za tę pracę po raz pierwszy Franciszek Csokor został odznaczony przez rząd polski Złotym Krzyżem Zasługi, a przez Polską Akademię Literatury — Złotym Wawrzynem. W rok później (w 1937 r.) wystawiono najlepszą sztukę Csokora „Trzeci listopad 1918” (upadek monarchii austro-węgierskiej) również w Burgtheater w Wiedniu.

Rok 1938 wraz z dokonaniem w marcu „Anschlussu” Austrii do Niemiec hitlerowskich i związanym z tym wkroczeniem niemieckich oddziałów, przyniósł nagle zahamowanie twórczości Csokora. Dzieła jego były zakazane w Niemczech już od roku 1933; teraz jednak odważył się on na publiczny protest przeciwko paleniu książek, jak też prześladowaniu pisarzy i artystów w Rzeszy hitlerowskiej. Franciszek Csokor wyemigrował wtedy właśnie do... Polski. On sam pisze o tym najlepiej:

„Moje pierwsze spotkanie z Warszawą przypada na marzec 1938 roku; przybyłem tam jako dobrowolny emigrant. „Paryż Wschodu”, jak nazywano to żądne życia i przez twórczą satyrę wzbogacone miasto, dniem i nocą radośnie spędzało beztroskie chwile swojego przesądzanego

już przez los bytu. Mój polski przyjaciel, u którego mieszkalem na Osiedlu Ostoja, Jan Sliwiński, kierownik biblioteki nauk wojennych, były adjutant Piłsudskiego z pierwszej wojny światowej, żołnierz, muzyk, śpiewak, poeta, właściciel pianina Steinwaya i olbrzymiej biblioteki, krótko mówiąc jeden z typowych polskich geniuszów, gościł mnie u siebie. W kawiarence artystów „Zodiak” na ul. Traugutta, gdzie bywałem spotykało się wielkiego lirika Juliana Tuwima, Hieronima Morstina, który na premierę swojej najlepszej sztuki „Obrona Ksantypy” przyjechał do stolicy, prezesa polskiego PEN-Klubu Jana Parandowskiego, Józefa Wittlina, którego powieść „Sól ziemi” zyskała uznanie już po ukazaniu się pierwszego tomu, Witolda Hulewicza, który był lirykiem, tłumaczem i przyjacielem Rainera Marii Rilkego oraz kierownikiem Polskiego Radia, no i w końcu Jarosława Iwaszkiewicza. Gdy przeżywałem te spotkania i to wszystko, co działo się w Warszawie, w końcu sierpnia 1939 roku, śmierć podniosła swoją kosę nad miastem, które drzemało w melancholijnej beztrosce, roztańczone, grające — wtedy nastąpiła w nim ta niezrozumiała zmiana.

Stała się ona w pierwszych dniach września wskutek hitlerowskich bomb, które bez uprzedzenia padły na ulice; ponad tym bezbronny, zaludniony i pełnym domów miastem słychać było bez przerwy antyczny chór głośnień: „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”. I to miasto wesołe, nieświadome grozy, wczorajszy Paryż nad Wisłą, powstało z nieporównalną groźną stanowczością i walczyło, walczyło prawie miesiąc z głodem i zarazą w swoich kamiennych bezkresach, walczyło ulica za ulicą, dom za domem. Poległych zakopywano tam, gdzie polegli, nad ich grobami walczone dalej: mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci. I po zajęciu tego miasta, jeszcze dwa razy Warszawa powstała do walki, raz w 1943 r. kiedy nowożytni Makkabeusze w walkach w getcie strzelali do ostatniego naboju i w roku 1944, kiedy po krótkim zwycięstwie armia podziemna najpierw nad a potem pod ziemią broniła się, aż ostatni o-

pór zduszony został w błocie kanałów...”

W Warszawie Csokor pisał swój ostatni dramat „Jadwiga”, w którym głównym motywem jest postać polskiej królowej. W dramacie tym pięknie opisuje odpowiedź Jadwigi na pytanie: „...ale po co żyjemy na świecie, jeżeli nie każdy sam dla siebie miałby żyć?”. Ona odpowiada: „...każdy człowiek żyje dla wszystkich ludzi” i „to jeszcze było za mało, każdy człowiek umiera dla wszystkich ludzi. To jest właśnie najważniejsze”.

Z Warszawy Csokor udaje się do Bukaresztu, z polskim dowodem w rękę; po przejściu rządów przez władze faszystowskie, pojechał dalej do Belgradu, gdzie przeżywał pierwszy niemiecki nalot bombowy w 1941 r. Następnie uciekł przez Szplit i wyspę Korcula do oswobodzonych już południowych Włoch. W roku 1946 wrócił Csokor do wolnej Austrii. Czas wojny nie był, mimo kłopotów, dla Csokora okresem martwym. Z tego okresu pochodzą jego dramaty: „Boży generał”, „Kalypso”, „Jak wrócić” i „Syn marnotrawny”. Po wojnie został on wyróżniony licznymi nagrodami, otrzymał pierścień Burgtheateru, nagrodę Grillparzera, tytuł profesora, nagrodę miasta Wiednia, pierścień honorowy miasta Wiednia i austriacką nagrodę państwową w dziedzinie literatury. W roku 1948 odwiedził pierwszy raz po wojnie Polskę i tak pisze między innymi o swoich wrażeniach w Warszawie: „Teraz w 1948 roku otrzymałem zaproszenie do Warszawy na odsłonięcie pomnika Mickiewicza. Miałem znowu zobaczyć tę Warszawę, która przez swoją bohaterką walkę przeszła do historii. Ale tej Warszawy, którą znałem, którą miałem w pamięci, nie poznałem, bo to co zobaczyłem było albo ruinami, albo w ogóle zniknęło. Pocięta jedynie było, że przyjaciele z tamtych dawnych czasów prawie wszyscy żyli. Teraz powitałem uściskiem Juliana Tuwima, genialnego reżysera Schillera a przede wszystkim Jana Parandowskiego, który w roku 1938 wraz z żoną witał mnie na niewykończonym jeszcze wtedy dworcu. Widziałem się z Jarosławem Iwaszkiewiczem, u którego mieszkalem w małym domu blisko jego majątku, a po wy-

buchu wojny musiałem go opuścić i który uratował najważniejsze moje książki, oddając mi je teraz. Powitałem i Romana Brandstettera, którego poznałem w Rzymie. Ale nie zastałem Edwarda Krasńskiego — umarł w Dachau, Edwarda Goryńskiego, który został zagazowany, a Witold Hulewicz — rozstrzelany. Jednak ci, którzy żyli, przeświadczeni byli o tym, że niepotrzebne im są skargi i ubolewanie nad dokonaniem zniszczeniem, ale że teraz każdy najmniejszy nawet odbudowany mur ważny jest na równi z najpiękniejszą elegią, którą by napisano o ruinach Warszawy”.

W 1961 roku Franciszek Csokor przyjechał ponownie do Warszawy, o czym tak pisze:

„I w 1961 roku zobaczyłem zmartwychwstałą Warszawę. Nie wierzyłem własnym oczom; znowu widziałem stare wielkie ciągi ulic, kościoły wyciągały ku niebu swoje ramiona wież. W starej formie, ale nowoczesnym wnętrzem wznosiły się saskie pałace. Zburzone Stare Miasto, stary rynek z winiarnią Fukiera stoją jak kiedyś, a z Placu Zamkowego spogląda z cokołu król Zygmunt na swoje miasto. I jeszcze jedno mogę powiedzieć: w ciągu 14 dni mojego pobytu w Warszawie, w tym tak gwałtownie od nowa powstającym mieście z najlepszymi plakatami świata na swoich murach, z najlepszymi przedstawieniami teatralnymi jakiego widziałem w ostatnich latach, poznałem również zmienionych ludzi, których przekształcił twardy los, szczególnie odnosi się to do młodzieży. Ta świadoma swoich pragnień, twarzą i czujną generacja potrafi oceniać czyny. Rodziny tych ludzi były gotowe w ogniu płonącej Warszawy poświęcać się dla ojczyzny, a dziś potomkowie tamtych, w wielkich kombinatach przemysłowych na południu i zachodzie kraju dokonują swego dzieła, a studenci w Warszawie, która w latach 1939—44 opłaciła sześciusettyśmiacami zabitych swoje Dziś i Jutro”.

Franciszek Csokor zatytułował jeden ze swych zbiorów wierszy „Zawsze jest początek”, uważając tytuł ten jako motyw działania w swoim życiu, motyw, który odnosi się również do Polski i jej historii.



FOT. T. KABAT

ROMANTYKA, MATEMATYKA, SIŁA WOLI

Wydawnictwo Morskie przygotowało w grudniu czytelnikom znakomity prezent gwiazdkowy: drugi tom opowiadań Borchardta, autora książki „Znaczący kapitan”. O tym, jak powstał „Krażownik spod Samosierry”, pisze w posłowie sam autor: jest to po prostu olbrzymia, na trzystu stronach druku z ilustracjami odpowiedź na listy, którymi zasypywali go czytelnicy jego pierwszej książki. Zastanawiano się wielokrotnie nad źródłem zdumiewającego sukcesu, jaki odniósł debiut literacki kapitana żegluga wielkiej. „Znaczący kapitan” był bestsellerem w całym kraju. Zasługa tematu? Romantyzm przygody, jaka zawsze wiązała się z morzem? Na pewno tak, ale nie tylko. Jednym z najsilniejszych magnesów przyciągających do tej książki był jej autentyzm.

Wspominając jakąś uroczystość na statku Borchardt napisał, że marynarze nie umieją wygłaszać przemówień, niektórzy najwyżej potrafią opowiadać. Wydaje się, że on sam należy właśnie do tych ostatnich. Umiejętność opowiadania jest na pewno jedną z tajemnic literackiego powodzenia autora „Krażownika”. Jeśli pisząc zrobił założenie, że nie znudzi czytelnika, było to założenie godne znakomitego pisarza, a Borchardtowi udało się je zrealizować. („Znaczący, pan potrafi to zrobić porządnie”). Najłatwiej

uchwytną cechą jego pisarstwa jest humor. Autor „Znaczący kapitan” i „Krażownika” miał zadanie o tyle ułatwione, że nie musiał sytuacji wymyślać, ani stwarzać postaci. Wiadomo jednak, że najlepszy dowcip można „położyć” kiepskim odtworzeniem, a Borchardt tego nie robi. Umie znakomicie obserwować otoczenie, daje swoim opowiadaniom mocną konstrukcję dramatyczną: niemal każdy szczegół jest niezbędny, aby końcowa pointa załśniła pełnym blaskiem. Jeśli w opowiadaniu „Pogrzeb pilota Trinty House” poznajemy na dwóch stronach całą od roku 1514 historię angielskiego towarzystwa żeglugowego, to nie po to, aby autor mógł się popisać erudycją lub przemycić młodym czytelnikom w opowiadaniu nudne lek-

cje historii, ale po to, by czytelnik, należąc już do grona „wtajemniczonych” mógł zrozumieć cały komizm przejęzyczenia się kapitana, przedstawiającego delegację załogi dostojnikom angielskim. Bez tego wprowadzania anegdoty straciłaby połowę swojej wartości.

W opowiadaniach Borchardta szczęśliwie uzupełniają się wzajemnie cechy stylu gawędziarza, który lubi rzecz przedstawiać zajmująco, a nawet nieco kolorystycznie, „aby sobie sprawić przyjemność i wzbudzić zachwyt u słuchaczy”, ze zwięzłością i konsekwencją toku myślenia. Nie bez wpływu jest też zapewne zamiłowanie byłego studenta prawa do celnych rzymskich maksym, ujmujących wiele rzeczy w niewielu słowach. Widać to zwłaszcza w momencie „krótkich śpieć” dowcipu, kiedy barwne, pełne rozmachu i kawalerskiej fantazji opowiadanie kończy się błyskawiczną pointą. A jednak sama sztuka opowiadania, choć bez niej popularność autora byłaby na pewno mniejsza, sama jedna nie zadecydowała o jego sukcesie. Werwa narcewja jest tu znakomitym dodatkiem do sprawy najważniejszej, dzięki której opowiadania Borchardta nie zatrzymały się na poziomie anegdotek morskich, pisanych ku ucieście publiczności.

Od pierwszego do ostatniego opowiadania w „Znaczący kapita-

nie”, od „Tenagi” do „Meczetu Omara” sprawą zasadniczą, najistotniejszą, choć nie ubraną w nudne moralizowanie jest ideał człowieka pracującego na morzu. Ideał moralny. Kapitan Mamert Stankiewicz i wszyscy ludzie budujący morskie siły Polski zostali pokazani w sposób porównujący a jednocześnie bardzo po ludzku. Borchardt, naoczny świadek i uczestnik, pisał z pasją urzekającą swym zaangażowaniem, a jednocześnie kulturą, talentem gawędziarskim i dowcipem. „Krażownik spod Samosierry” jest w formie, tematach, bohaterach i myśli przewodniej dopełnieniem i jednocześnie kontynuacją pierwszej książki. W połowie obejmuje czasy znane już ze „Znaczący kapitan” a w połowie dzieje wojny, której początek zaledwie pokazały cztery ostatnie opowiadania poprzedniego tomu. Sam tytuł nieco przekornie sygnalizuje problem. Trudno o nim mówić, bo to jedna z naszych świętości i jednocześnie bolączek narodowych. Ta świętość — to rzeczywiste bohaterstwo, bolączka — bohaterzyczna na efekt.

Borchardt wielokrotnie powtarza, że garstka ludzi, która założyła Szkołę Morską w Tczewie, kupiła pierwszy szkoleniowy żaglowiec, zaczynała budować polską flotę, była garstką romantyków i że nazywano ich właśnie romantycznymi marzycielami. „Natchnieniem narodów” nazywali Anglicy polskich żołnierzy, gdy okazali się potrzebni w drugiej wojnie światowej. „Natchnienie narodów” — czyż to nie romantyczne? Książki Borchardta nie stały się jednak barwną baśnią o niezwykłych wypadkach niedawnej historii — nie stały się bezkrytyczną kroniką różnych wydań Samosierry w czasie ostatniej wojny. Mit romantyczności, który przenika obie książki i jest przez nie bezustannie przywoływany, Borchardt opisuje w sposób każący myśleć bardzo wiele. „Posiadaliśmy dostateczną dozę romantyzmu, znajomość matematyki i równowagę duchową. Posiadanie tych trzech rzeczy uważaliśmy za nieodzowny warunek, aby się nie bać morza”. W lapidarnym skrócie tak można by określić model człowieka morza, jaki przekazał swoim wychowankom kapitan Stankiewicz.

W drugiej swej książce Borchardt pokazał kształtowanie się ludzi w tej atmosferze współczesnego romantyzmu, który na równi z fantazją ceni dyscyplinę,

wiedzę fachową, siłę woli i zimną krew. Nowa wersja mitu romantycznego to bezinteresowne uznanie za wyższe tych wartości, które wykraczają poza osobisty interes, poza sprawy własnego podwórka, poza doraźne korzyści dnia dzisiejszego. Ten romantyzm polega na rzetelnej wiedzy i pracy wnikliwie przewidującej myśli, a nie na bezpodstawnym ryzyku.

Chłopcy ze Szkoły Morskiej w Tczewie musieli uczyć się pod białymi żaglami „Lwowa”, że nawigatorowi nie wystarczy romantyzm. Aby miłość do morza mogła przybrać kształt realny, potrzebna jest jeszcze matematyka i siła woli. Młodzi czytelnicy, przeczytawszy „Znaczący kapitan” w roku 1960, mieli inne problemy i zadawali pytania odwrotne. Od dziecka rozumieli ważność matematyki. Pytali natomiast, czy dziś w pracy na morzu jest miejsce na romantyzm i przygodę. W posłowie do „Krażownika” autor odpowiedział najprościej i najbardziej przekonująco: autentycznymi przykładami. Chłopcy wychowani na „Darze Pomorza” już po wojnie, absolwenci szkół morskich Gdyńi sprzed kilku lat, pływający teraz na trawlerach rybackich po Morzu Północnym, opisani zostali na kartkach tej samej książki, która opowiadała o narodzinach naszej floty i Samosierrych polskich marynarzy.

Sprawa ta nie wypłynęła przypadkowo. Nieszczęsne pytanie „Jaka jest ta dzisiejsza młodzież?” zadawne z sensem i bez sensu, znajduje dla siebie miejsce, zdawałoby się zupełnie nieoczekiwane w takcie tajemniczej popularności opowiadań Borchardta. Jego książki po prostu, bez moralizowania i nudów potrafiły pokazać ludzi, którzy imponują swoją wiedzą, rzetelnością w pracy i jej umiłowaniem.

„Krażownik spod Samosierry” zniknął z księgarń w ciągu kilku dni. Pewnie znów posypią się do autora listy o romantyzmie, matematyce i równowadze ducha. Może odpowie na nie wszystkie razem jakimś borchardtowskim poematem pedagogicznym: od wspomnień ucznia z wieczorowego gimnazjum dla pracujących po pierwszej wojnie, do własnej pracy wychowawczej w Southampton i z „czterystu dziesięć” w Landywood i wreszcie po wyzwoleniu, w polskich szkołach morskich w Gdyni.

MALGORZATA CZERMIŃSKA

* Karol Olgiard Borchardt „Krażownik spod Samosierry”, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1963 r.

„MA JESMA OD MORZA”

Leon Roppel obalił mniemanie, jakoby Kaszubi w swojej twórczości pisarskiej unikali morza, chociaż nad nim i po części z niego żyją. Obalił to mniemanie wydaną przez Wojewódzki Dom Twórczości Ludowej i Zrzeszenie Kaszubskie antologię poezji prozy kaszubskiej o morzu pt. „Ma jesma od morza” (str. 178, cena zł 20, nakład egz. 700, do nabycia w WDTL). Powiedźmy od razu, że jest to pierwsza tego typu praca w naszej regionalnej literaturze, stanowiąca rozległą panoramę (choć niepełną, jak zastrzeża się sam autor) zainteresowań kaszubskich pisarzy morzem.

Swoją antologię podzielił Roppel na 8 rozdziałów, z których każdy opowiada o innej problematyce. Tak więc znajdujemy się „Kole morza na gościenie”, dowiadujemy się, że „Ma jesma od morza”, czytamy o „Morsciech wiatrach i burzach” itd. Taki świadomie zamierzony układ antologii wskazuje na jej rozległe znaczenie. Wertując pracę Roppela, czytelnik szybko zorientuje się, że w kaszubskiej poezji i prozie poświęconej morzu poszczególne autorzy wyrazili nie tylko swój emocjonalny stosunek do wielkiego żywiołu, lecz osłuli ten żywioł legendą, przepowiednią, humorem, że próbowali odtworzyć na przemian radość i tragedię w rybackich chatkach, których sprawcą było i jest morze. Próbowali

wreszcie pokazać ludzi, którzy z racji zawodu z morzem się żyli na zawsze.

Przejrzysty układ antologii pozwala również w sposób ułatwiony dobrać utwory na odpowiednie wieczornice i inne imprezy artystyczne. I wreszcie stanie się ona (antologia) z pewnością cennym źródłem poznawczym dla badaczy kultury duchowej Kaszubów.

Leon Roppel zebrał 97 utworów 21 autorów i kilka prac autorów nieznanych. W słowie wstępnym wyjaśnia jednak, że pisarze kaszubszy znacznie więcej napisali o morzu, ale wiele ich utworów — roznianych po różnych czasopiśmie — jest dzisiaj już niedostępnych. Z pewnością autor nie zaniecha dalszego szperactwa i w przyszłości da nam co najmniej uzupełnienie aktualnie wydanej antologii. Tego autorowi i sobie życzymy.

Pracę swoją Roppel zaopatrzył w rzeczowe słowo wstępne, słowniczek młję zrozumiałych wyrazów kaszubskich i indeks autorów. Krótkie posłowie napisał Tadeusz Bolduan. Staranny druk (rotaprintowy) jest zaśluga „Firmoznak” w Gdyni — Redlowie. (tb)

Notatki o ksiazkach

STEFAN CZARNIECKI

„WOJEWÓDZTWO GDANSKIE”

Wydawnictwo „Sport i Turystyka” udostępniło nam II wydanie przewodnika francuska Mamuszka pt. „Województwo gdańskie”. Jest to wydanie poprawione i uzupełnione, poza tym zmieniono i... ad części szczegółowej. F. Mamuszka dokonał opisu 17 tras kolejowych, 33 tras kolejowych i 16 wycieczek pieszych, ułatwiając w ten sposób m. in. wybór odpowiedniej trasy turystycznej. W części ogólnej wystarczająco omówiono geologię, geografie i przyrodę województwa (L. Roszkówna), zagadnienia gospodarcze (F. Mamuszka), historię (K. Górski, W. Odyniec), sztukę (A. Gosińska), kulturę materialną i sztukę ludową Kaszub (B. Machowska), oświatę, naukę i kulturę (F. Mamuszka). Wydawnictwo jest bardzo potrzebne, ale i bardzo drogie, bo kosztuje aż zł 39.

RUCH ROBOTNICZY NA POMORZU

Sygnalizujemy ukazanie się w księgarniach interesującej pracy gdańskiego historyka Romana Wapińskiego pt. „Ruch robotniczy na Pomorzu w latach 1920—1939”. Autor bardzo rzeczowo omawia rozwój ruchu robotniczego w okresie międzywojennym, jego stosunek do polityki warstw rządzących, walkę robotników o chleb i pracę itp. Bardzo cenna jest charakterystyka poszczególnych organizacji i partii działających na Pomorzu. Praca Wapińskiego jest niezbędna w bibliotece każdego, kto interesuje się problemami Pomorza. Ukazała się ona nakładem Wydawnictwa Morskiego w cenie zł 15.

STUDIA JĘZYKOZNAWCZE

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazała się praca pt. „Studia Linguistica in honorem Thaddaei Lehr-Splawinski” dedykowana wybitnemu polskiemu językoznawcy i sławiście z okazji 70-lecia urodzin i 50-lecia pracy naukowej. Pokazanych rozmiarów tom (512 stron) zawiera 70 prac najwybitniejszych polskich i zagranicznych językoznawców i sławistów oraz bibliografię prac prof. dra Tadeusza Lehr-Splawinskiego za lata 1951—1961. Cena zł 85.

EKSPANSJA NIEMIEC

„Wschodnia ekspansja Niemiec w Europie Środkowej” — to zbiór studiów nad tzw. „Drang nach Osten”, który pod redakcją Gerarda Labudy ukazał się nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Oprócz doskonałego szkicu Gerarda Labudy pt. „Historiograficzna analiza tzw. niemieckiego naporu na Wschód”, znajdujemy w tomie również świetne prace Jana Dąbrowskiego, Ewy Maleczyńskiej, Józefa Chlebowczyka, Zdzisława Nowaka, Janusza Pajewskiego, Czesława Madajczyka i Bolesława Wiewióry. W sumie jest to ambitna próba przedstawienia ekspansji niemieckiej od najstarszych czasów aż do obecnej doby. Cena zł 55.

W pięciennej luksusowej oprawie i pięknej okładowej wydało Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej biografię pt. „Stefan Czarniecki 1599—1665”, pióra Adama Kerstena. 584 strony druku, 25 szkiców, liczne ilustracje i mapki, wykaz źródeł i bibliografia przedmiotu, indeksy osób i nazw geograficznych — jednym słowem wydanie pod każdym względem wzorowe. Adam Kersten z niezwykłą dokładnością odtworzył nie tylko życie hetmana Czarnieckiego, nie tylko wykazał błędy w dotychczasowych biografiach tego dzielnego żołnierza, ale przede wszystkim potrafił go przedstawić, jakim był w rzeczywistości z wszystkimi wadami i zaletami żołnierza ówczesnej społeczności. Zresztą Kersten nie ograniczył się wyłącznie do sylwetki hetmana, lecz przy tej okazji przedstawił na szerokim tle historycznym żołnierską społeczność szlachecką XVII wieku. Tak więc Czarnieckiego poznajemy nie w oderwaniu od warunków, które go zrodziły, nie jako absolutnego bohatera opiewanego w legendzie, lecz zwykłego, odważnego żołnierza, który w różnych sytuacjach rozstrzygał losy państwa polskiego.

Dla tych zaś, którzy interesują się dziejami Pomorza, w książce znajduje się bardzo dużo szczegółowych wiadomości i to nie tylko w rozdziale o wojnie pruskiej (1626—1629). Ta cenna praca jest droga, kosztuje bowiem 98 zł.

DZIEJE SZCZECINA

„Dzieje Szczecina — wiek X — 1405”, to praca zbiorowa pod redakcją Gerarda Labudy, która ukazała się nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Potężny, ponad 700 stron liczący tom wydano w estetycznej oprawie graficznej, zaopatrzonej w ilustracje, mapki i barwne reprodukcje. Powyższą pracę obszerniej omówimy w następnym numerze „Liter”. Sygnalizujemy jednak już teraz, że cena jej wynosi 95 zł.

(T.B.)

ROCZNIK ELBLĄSKI

Ukazał się II tom „Rocznika Elbląskiego”, wydawnictwa traktującego o sprawach Elbląga i Pomorza Wschodniego. Tom pierwszy, którego pojawienie zbiegło się z obchodami tysiąclecia Gdańska, zapoczątkował to niezwykle cenne i potrzebne wydawnictwo, zainicjowane przez Polskie Towarzystwo Historyczne i TRZZ w Elblągu.

„Z wyw. rozwój gospodarczo-społeczny miasta Elbląga — czytamy w słowie od wydawców — jednego z największych ośrodków przemysłowych, oraz regionu Powiśla wymaga zaspokojenia również naukowych i kulturalnych potrzeb.”

Tym właśnie celem o także „ukazywaniu” prawdziwego, nie zafalszowanego obrazu przeszłości oraz dzisiejszej pełnej integracji społecznej i gospodarczej Elbląga z Polską ludową ma służyć „Rocznik”. Tom pierwszy wysuwając piórem Mariana Biskupa „Potrzeby historiograficzne Elbląga i jego regionu”, stanowił w pewnej mierze podsumowanie dotychczasowych rezultatów (raczej niedostatków) w tej dziedzinie. Zawarte w nim pozycje stanowiły logiczny ciąg i rozwinięcie też wysuniętych przez M. Biskupa. Szczególnie cenną wydał mi się pozycja Stanisława Gierszewskiego „Elbląg w historiografii zachodniopomorskiej”. Wystarczy bowiem zapoznać się z ilością niemieckich placówek „badawczych”, aby przekonać się, jak wiele do odrobienia w zakresie właściwego naświetlenia przeszłości miasta ma nasza nauka.

Tom drugi ma charakter wybitnie przyrzeczarski. Otwiera go rozprawa Stanisława Mielczarskiego p.t. „Truso”. Autor zadał sobie trud zebrania dotychczasowych wyników badań nad pasjonującą historię i badaczy zagadką, której ostateczne rozstrzygnięcie proponuje oddać archeologom.

Ciekawy przyczynek do historii reformacji polskiej wnosi artykuł Józefa Lassoty „Wilhelm Gnapheus (1493—1568) twórca elbląskiego gimnazjum, dramaturg i reformator”. Opierając się na materiałach źródłowych i dziełach samego założyciela pierwszego w Elblągu gimnazjum (1535 r.) łącząc go z wykształceniem humanistycznym w oparciu o przesłanki reformacyjne i biorąc pod uwagę fakt, że do gnapheusowskiej uczelni zgłaszali się uczniowie, nie tylko z Elbląga, ale nawet z głębi kraju (M. Firlej) J. Lassota pisze:

„Należy też stwierdzić, że wbrew dotychczasowej opinii, według której, idąc za Stanisławem Kotem uważa się za pierwszą w Polsce szkołę protestancką gimnazjum pińczowskie, powstałe w roku 1551, za pierwsze gimnazjum ewangelickie należy uznać gimnazjum elbląskie, powstałe o 16 lat wcześniej od pińczowskiego.”

Warto zwrócić uwagę, że gimnazjum, którego założycielem był Gnapheus odgrywało niepoślednią rolę w szerzeniu polskości w Elblągu. Sprawę tę podnosi Wanda Kleńska w opracowaniu o „Niektórych dowodach polskości Elbląga w XVI—XVII w.” Nie sposób szczegółowo omówić wszystkich aspektów polskości podnoszonych przez autorkę. Warto tylko podkreślić, że w zakres programu gimnazjum wchodził m.in. język polski.

Zaletą obydwu numerów „Rocznika Elbląskiego” jest to, że poświęcając wiele miejsca przeszłości, nie pomijają spraw teraźniejszych, dzisiejszych, aktualnych, lub też należących wprawdzie do przeszłości, ale tej z okresu ostatnich dwudziestu lat. Czytelnik pierwszego numeru mógł sobie wyrobić na podstawie lektury obraz miasta w 1945 roku, mógł prześledzić dzieje jego odbudowy i wreszcie mógł się zapoznać z perspektywami jego rozwoju. Tom drugi, obok niezwykle ciekawej rozprawy Rocha Morcinka o „Uczestnikach powstania listopadowego 1831 r. w Elblągu i na Powiślu”, Stanisława Gierszewskiego o „Rozrachach ziemskich w Elblągu w połowie XVIII w.”, przynosi zarazem sporo materiału o najnowszej historii miasta. Kazimierz Sobczak pisze o wywoleniu Elbląga, Powiśla i Żuław a Leokadia Panas i Bolesław Tarnacki o rozwoju szkolnictwa w Elblągu w latach 1945 — 61. Ambitna próba ukazania stosunków ludnościowych na terenie miasta w pierwszych pięciu latach po wojnie jest opracowaniem Ryszarda Kuźmaka. Lektura tej pozycji, popartej solidnymi danymi statystycznymi, pozwala prześledzić stapienie się w jednym tyglu ludzi pochodzących z różnych środowisk, regionów i przywozających do zniszczonego miasta cały bagaż zwyczajów, obyczajów i nawyków, których wypadkowa dała dzisiaj niemal jednolity element miejski.

Nie sposób w krótkim omówieniu przedstawić całej zawartości drugiego numeru „Rocznika”. Nasuwa się wszakże uwaga, że zbyt mało miejsca poświęca się w nim postulowanej w I tomie przez prof. dr M. Biskupa problematyce rewizjonistycznej w Niemczech zachodnich. Tymczasem, jak to wynika chociażby z artykułu Stanisława Gierszewskiego w pierwszym tomie rewizjoniści w NRF rozwijają nader obfita działalność, mając do dyspozycji instytuty, wydawnictwa poświęcone Elblągowi i cały sztab ludzi oddających się z zapamiętaniem fałszowaniu nawet współczesnej rzeczywistości miasta, nie mówiąc o przeszłości, w której Elblągowi w myśl koncepcji E. Carstena, przypadała szczególna misja w szerzeniu niemieczności. Dlatego poświęcanie większej uwagi w „Roczniku” problematyce rewizjonistycznej wydaje się zechcą konieczną.

(SD)

ŚMIERĆ W SZARYM MUNDURZE

Powieść Zbigniewa Kiwki, autora od 16 lat mieszkającego w Stupsku i znanego poza granicami Pomorza ze swych publikacji poetyckich to jeszcze jeden przykład debiutu dojrzałego, starającego się realistycznym dokumentem zastąpić ogólniejsze konkluzje.

Akcja powieści toczy się w środowisku pewnego miasteczka niemieckiego podczas II wojny światowej, by przenieść się w późniejszej fazie na niemiecki front wschodni. Podziat treści na dwie części nie jest sztuczny i odpowiada ściśle określonej zamierzeniu autora: zbiega się mianowicie z momentem przełomowym dla hitlerowców w okresie wojny, po którym odczuwają już oni w całej pełni (za wyjątkiem kilku fanatyków) świadomość poniesionej porażki. „Śmierć przychodzi nocą” nie zawiera problemów winy i kary, czy zbiorowej odpowiedzialności narodu, jaka to problematyka symptomatyczna była dotąd dla naszej literatury, zajmującej się tym samym przedmiotem. Nie powinna też powieść Kiwki stanąć na płaszczyźnie (nie uchodzą tu w zagadnienie wartości utworów) obok takich dzieł jak „Niemcy” Kruczkowskiego, „Wywiad z Ballmayerem” Brandysa, czy „Skandal w Hellbergu” Broszkiewicz. Próba podniesienia kwestii odpowiedzialności (rozmowa Hansa Raubera z Zollfeldtem) ogranicza się w zasadzie do układanych w usta postaci ogólników względnie wyraża natury bardziej emocjonalnej. „Śmierć przychodzi nocą” jest próbą panoramy literackiej. Próba przedstawienia stosunku warstw, grup, jednostek narodu niemieckiego do wojny. Przy czym autor bardziej interesuje się tymi spośród nich, które zachowały negatywne nastawienie do hitlerizmu, próbując tak czy inaczej wyrazić je na zewnątrz. Powieść jest uświadczaniem pokazania człowieka na tle katastrofy rozpętanej przez niego. W wypadku Hansa Raubera eksperyment etyczny Kiwki sięga daleko: był członkiem komendy Konzentrationslager Auschwitz, Untersturmführer SS, zacznie na froncie współpracować z wywiadem alianckim. Kiedy nastąpiła przemiana

Hansa? We wspomnianej rozmowie z Zollfeldtem główny bohater mówi: „Cechowały nas brawura i temperament, marzyliśmy o wielkich, bohaterskich czynach. Fuehrer porywał nas patosem, ale patos ten szybko zamienił się w krew. W chwili, kiedy zobaczyłem na własne oczy setki tysięcy ludzi palonych, gazowanych, i to w dodatku za nic, bo ci ludzie byli niewinni, zbuntowałem się i postanowiłem zerwać ze sobą takim jakim byłem”. Nie, to są słowa. Hans nie zrywa ze sobą. Oto riposta Zollfeldta: „Razem ze mną wystąpiłeś w szeregach SS przeciw uzbrojonym w transparenty robotnikom. Powiedziałeś, że to nieetyczne, ale tłuścieś ich ile wleźło. Coś tu się nie zgadza, Hans”. Wewnętrzny opór sprowadza się do bierności. Hans zostaje zmuszony do pracy w wywiadzie przez podstawionego na stanowisko Hauptsturmführera SS Kurta Zedepa — byłego działacza robotniczego. Kulminacyjnym punktem powieści jest obrona twierdzy Kolberg przed nacierającą armią gen. Katukowa. Komenda — po załamaniu się obrony — opuszcza chytliwie twierdzę na pancerniku „Luettow”. Kurt wykłada tajne plany i namawia Hansa do wspólnego dostarczenia ich nieprzyjacielowi — ten zaś sprzeciwia się zdradzie. Kurt: „Walczylismy przeciwko Hitlerowi. Ocaliliśmy życie wielu ludziom. Teraz mamy pełne prawo wycofać się z działalności konspiracyjnej i przejść do otwartej walki z wrogiem”. Hans pozostaje w twierdzy: „W twoich rekach zobaczę plany, nawet im nie przyjdzie do głowy, że pod tą kupą papierów kryje się śmierć. Dobrze to wyreżyserowałeś. Ocalisz swoją głowę”. Sympatia autora staje w tym momencie po stronie Hansa. Wybór takiej śmierci, śmierci na stanowisku jest konsekwencją dotychczasowego życia jego bohatera.

* Zbigniew Kiwka „Śmierć przychodzi nocą”. Wyd. Poznańskie 1963 r.

MIECZYSLAW ORSKI

JEZIORO JEST ICH KRÓLESTWEM

STANISŁAW K. SZWENTNER

1. HAZARD

Nad 7.500-hektarową taflą jeziora Leńsko, trzeciego co do wielkości śródlądowego obszaru wodnego w Polsce, zalega biała gęsta mgła. Wjechaliśmy w nią tuż przed zachodem słońca. Rybacy odnajdują drogę siódmym zmysłem domorosłych nawigatorów, dziedzicznym po ojcu i dziadzie-rybaka. Tym samym zmysłem wyczuwają niewidoczne dla oka podwodne ławice ryb; wsłuchują się w oddech nocy, czasami ręką zbadać temperaturę wody za burta, bosakiem zgruntuja dno, naradzą się półgłosem, poćmią „Sporty”, pociągną łyk na rozgrzewkę i albo rzucą niewód za burtę, albo powiosłują na inne, sobie tylko znane w tej ćmie miejsce, gdzie jezioro jest łaskawsze. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Jezioro też ma swoje łąprysy.

— Bywało — powiada mistrz Cygiert — że za jednym pociągnięciem niewodu mieliśmy piętnaście ton ryby. I to jakiej ryby! Samego prawie węgorza.

Zaczyna kropić. Mgłę diabli wzięli, a nadali deszcz. Na zakotwiczonych łodziach lśniąco deszczem w sztormowych ubraniach postacie rybaków rytmicznie zginają się i prostują przy kołowrotach, nawijając na bęben stalową linkę — 500-metrowe przedłużenie skrzydeł niewodu. Kiedy sieć dotrze do łodzi, bez komendy chwycywszy za wiosła ustawiają obie łodzie burta w burcie, sklamrują je łańcuchami, zakotwiczą solidnie i będą wciągać niewód do łodzi. Co kilka metrów palce rybaków zręcznie wyluskują z sieci ogłupiałego jazuca, czy fosforującą płoć. Każdy ruch zespolonych ramion przybliży matnię z jej wielką niewiadomą.

Skrzydła niewodu podchodzą do łodzi wielkim łukiem, a w kole utworzonym na powierzchni jeziora z korkowych pływaków na niewielkiej pływającej płynie mistrz Cygiert i walić wiosłem o wodę wpędza ryby do włoka.

Na motorówce zapala się reflektor. W zielonkawej smudze światła widać podciągane do burt cielsko włoka: coś w nim błyszczący, coś w nim „rozrabia”.

Ile tego będzie na wagę? Dwa lata temu w tym samym miejscu toniła dała piętnaście ton w jednym zaciągu. A dzisiaj?

2. GÓRALU, CZY CI NIE ZAL

Niegdyś szumiały tu wody zatok. Z czasem odcięta mierzeja połać wodna zmieniła się w przy-morskie jezioro o warunkach umożliwiających koegzystencję fauny morskiej i śródlądowej. 75 kilometrów kwadratowych toni „uprawiają” cztery brygady rybackie podlegające Państwowemu Gospodarstwu Rybackiemu w Lebie: z Rąbki, Żarnowca, Iz-bicy i Kluk.

Brygadzie rąbkowskiej przewodzą Alfons Cygiert, rybak z ojca i dziada. Brygada liczy dziewięciu ludzi. Każdy uczestnik zespołu pochodzi z innej parafii, z których każdy dotarł na lebskie jezioro innym gościńcem.

Patrzę na nich, kiedy opowiadają o tym co kto dawniej robił, gdzie uczył się rybaczania, skąd przywiózł kobietę, gdzie urodziły się dzieci — i bardziej wyczuwam, niż rozumiem granicę między „wczoraj” i „dziś”.

Taki Jarząbek...

Do dzisiaj chodzi w swetrze z cweżej wełny gremplowanej systemem znanym tylko na Podhalu, mówi „z góralska”, ale jego kontakty z rodzinnym Skrzypnem koło Zakopanego uproszczone zostały do jeżdżenia „tam” na urlop. Każdy ma jakieś swoje „wczoraj” i jakieś „tam”...

Alfons Cygiert — mistrz rybacki i brygadzysta na Rąbce, urodził się na Pojezierzu Kaszubskim. 83-letni ojciec Cygierta do dziś rybaczy na jeziorach Gołubskim i Ostrzyckim. Po wojnie młody Cygiert zaczął terminować na jeziorze Lebskim. Ale zoną przywiózł sobie z Kościerskiego.

Wacław Sosnowski na miłą pachnię warszawiakiem. Przesałki warszawskim cockney'em przez te wszystkie lata wożenia po Wiśle żwiru i owoców. Czy zdradził Królową Rzek! Nie robierajmy włosów na dwoje. Ale... zoną przywiózł z Warszawy. Bo warszawiaki to ho, ho!

Pod opieką pana Wacława wyrasta na rybaka jeziorowego je-

go 18-letni bratanek, Stanisław Sosnowski — uczeń rybacki i trzeci z kolei członek brygady. Jest jeszcze za młody, abyśmy interesowali się jego przeszłością.

Michał Stawrosiejko pochodzi z Grodna. Wiele dni i nocy spędził na Niemnie, tam nauczył się rozpoznawać zwyczaje i łąprysy rybnych ławic. Ale na takich przestrzeniach wodnych, jak Leńsko, nigdy nie pracował.

Syn pana Michała, Paweł rozpoczął „karierę” rybacką na Lebie. Od dziecka buszował po jeziorze, dziś jest jego współgospodarzem. Założył w Rąbce rodzinę. Po żonę jeździł do Słupska. Podobno tam najurodzawsze są dziewczęta.

Edmund Filut opuścił po wojnie rodzime Pobiedziska pod Poznaniem na rzecz Węgorzewa w woj. olsztyńskim. Od 1954 rybaczy w Lebie. W Szkole Rybackiej w Giżycku zdał egzamin mistrzowski. Według niego najurodzawsze niewiasty są w Wilnie. Zrozumiałe — stamtąd pochodzi jego żona.

Bolesławowi Jarząbkowi wcale, a wcale nie znudziło się Skrzypne, ani Zakopane. Tylko ciasno mu tam było i częściej głodno, niż chłodno. W 47 przyjechał do Leby i zaczął w rybołówstwie morskim, a w sześć lat później przeniósł się na jezioro. Jednego roku stary Jarząbek, 64-letni cieśla ze Skrzypnego odwiedza syna nad morzem, drugiego roku eks-góral jedzie w Tatry. Żeby zamknąć trójkąć życiorysu Jarząbka trzeba dodać, że zoną pojął z miejscowości Wysockie Litewskie.

Michał Motycki — człowiek z Puszczy Białowieskiej, dokładnie z Hajnówki. Łowił niegdyś, w urwisowskich latach, zwierzęta puszczańskie we wnyki. Dzisiaj chleb daje mu jezioro. Jemu i żonie przywiezionej z powiatu kartuskiego.

Bronisław Charubin ma 20 lat i pachnący jeszcze świeżością dyplom absolwenta Szkoły Rybackiej w Giżycku. Odbywa w Lebie 1-roczyzny staż: służbowy pokój i 700 złotych miesięcznie. Podobno mu się Leba. Więcej — powiada — niż rodzina Białostoczyna.

I na tym kończy się dziewięć szalenie skondensowanych życiorysów, stanowiących być może materiał do naukowego studium socjologicznego na temat integracji ludności Ziemi Zachodnich. Ale to już nie moja dziedzina. Staram się więc nie wybiegać zbyt daleko poza ramy konwencjonalnego zbieractwa faktów do reportażu: po prostu przyjechali ze wszystkich krańców Polski, zdobyli zawód, założyli rodziny, mają własne domy, zagrody, mają wspólny sprzęt i wspólne jezioro. Jestem przekonany, że gdybym zamiast na Rąbkę, trafił do Żarnowca, Iz-bicy, czy Kluk — w notatniku zmieniłyby się jedynie nazwiska i daty startu życiowego na lebskim jeziorze. Wartości socjologiczne natomiast pozostałyby bez zmian.

3. „BATORY”

Dwie z wycofanych szalup ratunkowych z „Batorego” trafiły przed laty do Leby; jedna pod banderą PTTK przewozić miała turystów na „polską Saharę”, drugą zaprzęgnięto w służbę rybołówstwa. Oczywiście obie szalupy zachowały część splendoru swego wielkiego imiennika z nazwą włącznie. Są więc na Lebsku dwie jednostki o nazwie „Batory” i w chwale transatlantycznych rejsów dobiegają kresu swych dni.

Pewnego jesienno-go dnia, tuż przed zachodem słońca, brudniejszym „Batorym” wypłynęliśmy z niewodem na węgorze. Na holu za „Batorym” gęsio suneły cztery wiosłowe łodzie załadowane sprzętem rybackim i pływający magazyn dla żywych węgorzy.

Jesienią ta smakowita i tajemnicza ryba rozpoczyna wielką wędrówkę do miejsca urodzenia — na Morze Sargassowe koło Bermudów. Zanim wychowany w polskich jeziorach i mulistych rzekach węgorz dotrze do morza, musi ominąć dziesiątki zastawionych na niego pułapek, od nieruchomych żaków do ciągnionych łodziami niewodów.

Pułapki czekają na niego również na jeziorze Leńsko. Tutaj też — kiedy z południa powieje



FOT. WL. NIEŻYWIŃSKI

ostrzejszy wiatr — rybacy zarzucają niewód. Poza 425-dekowym węgorzem, 18-kilogramowym łososiem i 22-kilogramowym szczupakiem nic specjalnie ciekawego łebscy rybacy dotąd nie złowili. Jezioro jest kapryśne. Bywa, potrafi zabrać sprzęt, łódzie, przemoczyć do suchej nitki i dać jedną rybę na wieczrę. Ale są dni, że za jednym pociągnięciem niewodu wyciąga się z wody ćwierć miliona złotych. Ma wówczas co holować sławetny „Batory” do przystani w Rąbce.

4. RĄBKA

Takie to ni miasto ni wieś. Zgodnie z literą prawa Rąbka administracyjnie należy do Łeby, ale o fakcie tym wie jedynie sekretarz Prezydium MRN w Łebie. Oczywiście jest to duże uproszczenie.

W Rąbce mieszka siedem rodzin. Łącznie 22 osoby. Jeszcze kilka lat temu Rąbka miała własnego sołtysa. Dzisiaj jest ubogim krenwym modnego letniska morskiego.

W ogóle Rąbka to dziwoląg nad dziwoląg; administracyjnie — jak już powiedzieliśmy — należy do Łeby, a jednocześnie leży na terenie rodzącego się w strasz-

liwych bólach Nadmorskiego Parku Narodowego i z tej racji podlega nadzorowi wojewódzkiego konserwatora przyrody w Gdańsku. Żeby galimatias był solidniejszy trzeba dodać, że leśnictwo Rąbka należy do Koszalińskiego Okręgu Lasów Państwowych, a znów wydmy nadzoruje strażnik Gdańskiego Urzędu Morskiego. Nic też dziwnego, że taki rząd to nierząd i co wolno wojewodzie, to i gospodarzom na Rąbce. Efekty są nadspodziewane.

— Proszę sobie wyobrazić — powiada leśniczy Mieczysław Flanc — że ludność Rąbki w sezonie letniskowym wzrasta o 4.000 procent. Każdy bowiem gospodarz, rybak — nierybak, przyjmuje kolonię z głębi kraju, stawia jej namioty na swojej działce przyzagrodowej, wyprowadza na spacer do rezerwatu przyrody, urządza wieczorki i potańcówki przy ognisku. Krew mnie nagła, za przeproszeniem zalewa, ale wychodków dla 800 osób nikt w Rąbce nie zbudował. Czy pan wie, jak wygląda rezerwat po przejściu ludzkiej szarańczy?

Leśniczy Flanc pracuje w lasach od 1916 roku. Do Łeby przyjechał z lasów spalskich. Teraz podlega mu cała mierzewa praco-

wicie usypana przez morze i pracowicie dewastowana przez lekomyślnych letników. Jeden człowiek strzeże 1.600 hektarów z takimi dziwami przyrody, jak żurawinowe gaje ze słynnym uroczyskiem na Boleńcu — punktem zbornym tysięcznych stad żurawi, jak czapla siwa, jak niemy łabędź, jak jeleń, dzik, sarna, które w rezerwacie żyją pod absolutną ochroną, jak góry lotnych piasków posuwające się stale, wciąż, nieubłagane na wschód i wreszcie niesławne pozostałości po wyrzutni pocisków rakietowych V-2, którymi z lebskiej mierzwi hitlerowcy bombardowali Anglię.

Dla odtworzenia prozą niepowtarzalnego uroku białych gór z zamierającymi drzewami u stóp (tu rzeczywiście drzewa umierają stojąc), morzem z jednej i seledynową taflą jeziora z drugiej strony, pokarbowanych wiatrem, śpiewających pod podeszwą buta — trzeba mistrza słowa. Białe góry urzekają swym pięknem i grozą, nie okiełznaną zaborczością i miękkością obrazu. Bywały słoneczne niedzielniki, kiedy przez Rąbkę — jedyną bazę wypadową na wydmy — przechodziło po 5 tysięcy turystów. Czym się rodacy pożywali? Niech odpowiedzą

leśne ścieżki, usiane blaszankami po konserwach i dmuchanym szkłem po ziemniakach w płynie.

W rezerwacie i przy drogach doń wiodących konieczne są niezbędne inwestycje, chociażby sanitarne, co oczywiście możliwe jest dopiero wówczas, gdy status Nadmorskiego Parku Narodowego stanie się faktem dokonanym. Innymi słowy, gdy wyjdzie z fazy dziewiętnastoletniego*) okresu projektowania w fazę realizacji.

Wydmy oddzielające jezioro łebskie od pełnego morza, z ich ruchomymi górami i drzewami umierającymi stojąc, nie mają równych sobie w Europie. Z całego świata zjeżdżają się turyści podziwiać urok i grozę pierwotnej przyrody. A my?

* * *

Wszyscy chcemy być sędziami... A czyż nie ma i naszej w tym winy, że od osiemnastu lat „polska Sahara” nie może doczekać się oficjalnej wizytówki Nadmorskiego Parku Narodowego?

*) Pierwszy konkretny wniosek w tej materii złożono w roku 1945 w Krakowie na zjeździe Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Dalej: w styczniu 1959 roku dwa zainteresowane prezydya WRN, gdańskie i koszalińskie, na wspólnym posiedzeniu podjęły uchwałę, stwierdzającą celowość utworzenia Nadmorskiego Parku Narodowego.

• • • • • DROBNOSTKA • • • • •



Śmigło samolotu warczało coraz głośniejsze. W końcu wdarło się w mój sen i zbudziło mnie. To dzwonił telefon na biurku. Wzywali mnie z komendy:

— Może szanowny pan raczy nareszcie się pofatygować?

Tam do licha! Chyba jeszcze nigdy w życiu tak nie zasnęłam. Spieszyłem się jak wariat i przejechałem dwa czerwone światła. Ale stary i tak był wściekły.

— Zabieraj się natychmiast do roboty — powiedział. — Dziś rano znaleziono na skwerze na Park Lane trupa młodej kobiety. Uduśzona. Dr Jenkins twierdzi, że śmierć nastąpiła około północy, gdzieś między 11 a 1. W jej torebce było prawo jazdy, masz tu nazwisko i adres.

Dom był bardzo elegancki, musiało im się dobrze powodzić. Drzwi otworzył mi przystojny, wysoki facet.

— Mister Hall? Policja — powiedziałem, pokazując legitymację.

Poprosił mnie do pokoju i stał, patrząc na mnie wyczekująco. — Może usiądziemy? — zaproponowałem. — Mam dla pana kilka pytań. A przede wszystkim: gdzie jest pańska żona?

— Fanny? Nie wiem... to jest sądzą... Przykro mi o tym mówić, ale nie jesteśmy zbyt dobrym małżeństwem. Irena jest gwałtowna, wybuchowa... A po każdej sprzeczce wychodzi do swojej przyjaciółki i tam nocuje, bo wie, że ja tego nie lubię.

— To znaczy, że i wczoraj doszło do jakiejś kłótni? — No, kłótni to może za wiele... Ale posprzeczałyśmy się dość ostro i...

— I co pan zrobił, kiedy żona wyszła z domu? — Cóż miałem robić? Po prostu położyłem się spać.

— A może poszedł pan za nią? Może kłótnia trwała dalej? Coraz gwałtowniej?

— Do czego pan zmierza?!

— Obawiam się, że pan wie aż nadto dobrze! Pańska żona została uduśzona, zwłoki jej znaleziono niedaleko stąd na skwerze. Dlatego radzę panu sobie dokładnie przypomnieć, co pan robił wczoraj wieczorem!

— Uduśzona... Fanny... Nie, to niemożliwe! Protestować i wydawać okrzyki jest łatwo. Ale alibi nie miał... Chyba że...

— Czy tu jeszcze ktoś mieszka, kto mógłby potwierdzić, że nie wychodził pan z domu?

— Nie, nikt. Mieszkamy... to jest mieszkaliśmy we dwoje.

Tak... wszystko pasowało jak ulał. Miałem już potencjalnego mordercę. Tylko co z tą przyjaciółką? Może ona coś wie? Na wszelki wypadek lepiej sprawdzić...

Spytałem o adres i nazwisko i poszedłem do tej przyjaciółki. Otworzyła mi sama. Była taka mała, że ledwie ją zauważyłem. Przedstawiłem się i wszedłem za nią do mieszkania.

— Czy była u pani wczoraj Fanny Hall? — spytałem.

— Fanny? Nie, nie widziałyśmy się już od dawna.

— Tak? — zdziwiłem się. — A jej mąż twierdzi, że dość często u pani nocowała.

Trzeba przyznać, że była lojalna. Momentalnie zmieniła front:

— Ależ tak, naturalnie! Nocowała nieraz, ale wczoraj nie. Cemu pan pyta?

— Wczoraj wieczorem Fanny została zamordowana na ulicy. Rzekomo była w drodze do pani.

— Zamordowana! O Boże... — szepnęła. — Jak... jak Albert to przyjął?

Aha! Tu ją boli! Podkochiwała się w mężu przyjaciółki, była o nią zazdrosna... Ale nie, nie nadawała się: była za drobna i za wątła, nie uduśliby nawet komara. To musiał być mąż. I zle pożyczcie, i kłótnia, i brak alibi... Mucha nie siedzi!

Wróciłem do komendy bardzo zadowolony. Stary siedział przy biurku i przeglądał jakieś papiery. Powtórzyłem mu obie rozmowy i powiedziałem:

— To mógł być tylko mąż. Sam się przecież przyznał, że zle ze sobą żyli i że tego wieczoru doszło do ostrej kłótni. Wyszedł z domu za nią, kłócili się dalej, wpadł w pasję i uduśił ją. Tak ja to widzę.

— A ja to widzę inaczej — powiedział stary.

Aż mnie zatkało. To ja się staram zamknąć sprawę bez luki, a on...

— Tak, ja to widzę inaczej — powtórzył stary. — W niedobrym małżeństwie często pojawia się ten trzeci. A cóż prostszego niż widywać się z nim, zapewniając męża, że się nocuje u przyjaciółki? Nie wiem jeszcze, dlaczego nie chciała odejść od męża, może ją trzymały pieniądze... W każdym razie ten trzeci był zazdrosny, chciał ją mieć tylko dla siebie. A może i z nim się kłóciła, może i jego doprowadziła do pasji? Któż to odgadnie, skoro ona już nie żyje...

Zacząłem się śmiać.

— To cudna teoria, tylko na niczym nie oparta. Skąd się nagle wziął ten trzeci?

Stary popatrzył na mnie ze smutkiem.

— Bo widzisz, już po twoim wyjściu dostałem wyniki sekcji. Bardzo dokładne. Wspomniano nawet i o tym, że denatka miała na żakiecie i na pończochach zielone plamy, bo ławka, na której ją znaleziono, była świeżo malowana.

— Świeżo malowana? — powtórzyłem, jeszcze nie rozumiejąc.

— Tak. A ty późno zasnąłeś i za późno się zbudziłeś i dlatego ubierałeś się w wielkim pośpiechu. I nie zauważyłeś tego, co ja spostrzegłem odrazu, nie wiedziałem tylko wtedy jeszcze, co to znaczy. Bo ty masz na płaszczu małą, bardzo małą plamę. Ale zdecydowanie zieloną...



SYCI CHWAŁY i sukcesów „Niebiesko-Czarni” powrócili z występów w paryskiej „Olimpii”. Krajową działalność zainaugurowali koncertami w Lublinie.

STEFAN KRASZEWSKI (fotoreporter „Liter”) otrzymał I nagrodę za prace nadesłane na Ogólnopolską Wystawę Fotografii Artystycznej w Szczecinie. Wśród laureatów trzech równorzędnych nagród znaleźli się także Krzysztof Kamiński i Janusz Uklejewski z Gdańska.

W SALONIE BWA w Gdyni odbyła się wystawa fotografii Mariana Murmana. Szczególnie mogły się podobać fotografie przedstawiające pejzaż.

CDAŃSKIE STUDIO Rapsodyczne wystawi w tym sezonie „Przyjaciela wesołego diabła”. K. Makuszyńskiego. Spektakle „Przyjaciela” odbywać się będą w Gdańsku i w Gdyni.

ZOFIA JANUKOWICZ powróciła z tournée artystycznego po Związku Radzieckim. Artystka śpiewała w salach koncertowych Leningradu, Taszkientu, Alma-Aty, Nowosybirsk i Moskwy. „Ogromne przeżycie, kolosalne powodzenie” — tak „podsumowała” artystka swoją podróż artystyczną.

kulturalne

W KLUBIE Międzynarodowej Książki i Prasy w Gdyni wystawiał swe prace znany malarz Kazimierz Ostrowski. Wystawa cieszyła się zasłużonym powodzeniem.

W „PODWIECZORKU na fali 230”, w dniu 13 stycznia br. wystąpili m. in. Slawa Przybylska, Rena Rolska, Jerzy Polonski i Andrzej Rumian. Grał zespół „Flamingo”.

W „RUDYM KOCIE” czynna jest wystawa fotografii Zygmunta Grabowieckiego (patrz: fotoreportaż z „Zaka”). Szczególnie ciekawe są fotografie „jazzowe”.

TEATR „WYBRZEŻE” wprowadził roczny abonament na 11 sztuk teatralnych. Posiadacze abonamentu otrzymują bilety po cenach niższych.

PRZY MŁODZIEŻOWYM Domu Kultury we Wrzeszczu powstała Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna. Organizacją i kierownictwem orkiestry zajmuje się mgr Stefan Trojański.

13 STYCZNIA w sali Filharmonii Bałtyckiej wystąpił z koncertem czeski pianista Zdenek Kozina. W jego wykonaniu usłyszeliśmy utwory Beethovena, Schumann, Chopina, Prokofiewa i Klusaka.

„FOGG AND ROCK” — to tytuł programu z jakim dwukrotnie wystąpił w styczniu niezmordowany Mieczysław Fogg. Towarzyszyły mu zespoły „Klips” i „Karaty”.

WYSTĘPEM Lidii Grychtolówny (fortepian) i Bogny Sokorskiej (śpiew) zakończyła Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka rok 1963. „Pożegnaniem” koncertem dyrygował Jerzy Katlewicz.

W WRZEŹOWI fotoreportaż — Zbigniew Kosycarz i Janusz Rydzewski otrzymali wyróżnienia za prace nadesłane na VI Ogólnopolski Konkurs Fotografii Prasowej w Warszawie.

PREZYDIUM WRN w Koszalinie przyznało nagrody za umiarkowanie kultury w roku 1963. Nagrodę zespołową I stopnia otrzymał Bałtycki Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego. Nagrody II stopnia nie przyznano, natomiast nagrodę III stopnia otrzymał „Polski Obłazdowy Teatr Lalki „Tęcza”. Nie przyznano również nagrody indywidualnej I stopnia, zaś nagrody II stopnia otrzymali koszalińscy blawetcy Ludmila Popiel-Fedorowicz, i Jerzy Fedorowicz oraz kierownik muzeum regionalnego w Darłowie Hieronim Fiodorow.

ROZSTRZYGNIEŃY został konkurs prasowy, zorganizowany z okazji 10-lecia koszalińskiej rozgłośni „Polskiego Radia” w Koszalinie przez rozgłoszenie, redakcję „Zapisków Koszalińskich” i ZW TRZZ w Koszalinie. Nagrodę za reportaż radiowy otrzymał red. Jan Grzędziński z Warszawy, zaś za reportaż prasowy — red. Czesława Czechowicz z Koszalina. Dwa wyróżnienia przyznał red. Zofii Kozłowskiej z Koszalina i red. Januszowi Roszko z Krakowa.

W POŁOWIE stycznia odbyła się w Kartuzach konferencja popularno-naukowa, poświęcona roli i zadaniom współczesnego regionalizmu. Referat na ten temat wygłosił doc. dr J. Braun z Częstochowy, a o działalności regionalnej dra A. Majkowskiego mówili mgr Leon Roppel. Trzeci referat na temat wartości krajoznawczych i funkcji turystycznych regionu kartusko-kościerskiego wygłosił red. Czesław Skonka. Poza tym wręczono nagrody działaczom regionalnym, złożono kwiaty na grobie A. Majkowskiego, zwiedzono Muzeum Kaszubskie i urządzono kuleganieczkowy do Chmielna. Jedynym słowem — udana impreza!

W LICEUM Pedagogicznym w Żukowie odbyło się spotkanie tamtejszej młodzieży z zagranicznymi studentami studiującymi w wyższych uczelniach trójmiasta.

CZWARTY w ponad zaplanowanych w 1963 roku 50-ciu klubów książki i prasy „Ruch” został otwarty w Gdańsku-Oliwie, przy Placu Inwalidów.

gospodarcze

W BIEŻĄCYM roku rozpocznie się przy ul. Staszica w Wejherowie budowa nowego osiedla mieszkaniowego dla 770 mieszkańców. Również w Rumii przy ul. Harcerskiej wybudowane zostanie nowe osiedle dla 3 tys. mieszkańców. Za dwa lata w Wejherowie rozpocznie się budowę jeszcze jednego osiedla między terenami PKP, ul. Judyckiego i 12 Marca.

PO RAZ DRUGI załoga superkutra „Ust-100” z Przedsiębiorstwa Połowów i Usług Rybackich „Korah” w Uście pobila rekord Bałtyku w dziedzinie rocznych połowów na jednostkę tej kategorii (24-metrowej). Tym razem — odławiając w ciągu 1963 roku 777 ton ryby wartości około 4,5 mln. złotych — przewyższyła również od wielu lat nie pobity wynik załogi szypora Edwarda Krefta z gdynskiej „Arki” (710,5 tony) ustalony jednakże nie tylko na łowiskach bałtyckich, ale także na Morzu Północnym w latach najwyższej wydajności tamtejszych łowisk.

W CIĄGU trzech lat eksploatacji „Ust-100” jego załoga, pracująca pod kierownictwem szypora Kazimierza Jermakowicza (aktualny skład: Roman Habecki — II szypor, Leon Dobosz — mechanik, Henryk Kwiatkowski — motorzysta, Tadeusz Zdyb, — st. rybak, Józef Kozdruj i Jerzy Prałat — rybacy oraz Tadeusz Bomba — ml. rybak) odловиła łącznie ponad 2 tysiące ton ryby wartości około 14 mln. złotych.



FOT. Z. KOSYCARZ

personalne

1 LUTEGO PROF. MICHAŁ URBAŃEK obchodził 50 rocznicę pracy w zawodzie nauczycielskim. Jubilat w okresie międzywojennym uczył w Gimnazjum Polskim w Gdańsku. Natychmiast, po wojnie w 1945 roku, przystąpił do pracy pedagogicznej. Obecnie mimo podeszłego wieku nadal uczy w Liceum im. B. Chrobrego w Sopocie i jako radny MRN w Sopocie czynnie udziela się w pracy społecznej. Uczestniczy w pracach TRZZ i ZNP. Za zasługi odznaczony został orderem „Polonia Restituta”. Otrzymał także złotą odznakę ZNP. Zasłużonemu pedagogowi i wychowawcy — „Literzy” składają serdeczne gratulacje.

JUBILEUSZ pięciolecia pracy aktorskiej obchodził jeden z młodszych, ale mimo to najpopularniejszych aktorów BTD w Koszalinie, Stefan Iżyłowski. Stefana Iżyłowskiego oglądaliśmy ostatnio w skromnej, ale kapitalnie zagraniej roli Sekundariusza w „Lecie” Tadeusza Rittnera oraz w roli Franka Gardnara w „Profesji pani Warren” G.B. Shawa. Jest on absolwentem PWST im. A. Zelwerowicza w Warszawie i pierwsze swoje kroki stawiał na scenie Teatru „Wybrzeże”.

Z WYSTAWY
PAMIĄTKARSTWA CPLIA

KARNAWAŁ 1964



FOT. Z. KOSYCARZ

różne

6 STYCZNIA odbyło się pierwsze w tym roku podniesienie bandery na nowym statku PLO „Głogów”. Kapitanem „Głogowa” (drobnicowiec) został Czesław Pawłowicz.

10-11 STYCZNIA br. obradował w Gdańsku VI Wojewódzki Zjazd ZSL. Zjazd podjął uchwałę nakreślającą program działania organizacji wojewódzkiej stronnictwa i dokonał wyboru nowych władz. Prezesem WK ZSL wybrano ponownie Józefa Nogę.

STATKI Żegluga Gdańskiej przewiozły w ub. roku ponad 1.700 tysięcy pasażerów, a statki i barki towarowe — 134 tysiące ton masy towarowej.

POWOŁANO do życia Komitet Organizacyjny Obchodów XX-lecia PRL na terenie województwa koszalińskiego. Na czele komitetu stanął sekretarz KW PZPR w Koszalinie, tow. Zdzisław Kanałek.

komunikat

PODAJEMY WYNIKI świątecznego konkursu z nagrodami z nr grudniowego (12) „Liter”. W drodze losowania nagrody otrzymali: 1. Śpiewak Janina — Gdańsk, 2. Dembski Wiesław — Kwidzyn, 3. Szkudliński Witold — Rumia, 4. Piętkowska Krystyna — Rumia, 5. Szkudliński Olgierd — Rumia, 6. Stelmaszyk Ewa — Gdańsk, 7. Banaś Jolanta — Gdynia, 8. Kolesnik Ryszard — Gdańsk-Chelm, 9. Kolasa Ryszard — Wrzeszcz, 10. Żukowski Karol — Wrzeszcz, 11. Bak Krzysztof — Wrzeszcz, i 12. Kulczyński Mieczysław — Wrzeszcz. Dziękujemy wszystkim uczestnikom za udział w konkursie.

CURIOZA

11 STYCZNIA koszalińska MO zatrzymała grupę kłusowników. Amatorzy zwierzęcy odrzucili stare, konwencjonalne sposoby chwytania zwierzęcy. Miał zastawiać sidła, potrzaski i wnyki, uzbrojeni w broń palną, wyprawiali się „na dzika” samochodem. Fotozarządzenia nie wątpia, że sąd stosownie oceni ich nowatorskie zapędy.

WŁAŚCICIELKA popielatej „Warszawy” pani G. z Gdyni będąc „pod dobrą datą” usiłowała prowadzić samochód. Dzielnia amazonka mając we krwi 1,9 promille alkoholu usiłowała przeskakującą jej milicjantom przesłonić oczy „setkami”. Sąd nie docenił intencji brawurowej kobiety i skazał ją na rok więzienia za jazdę samochodem w nietrzeźwym stanie i na 11 tys. zł grzywny za usiłowanie przekupstwa.

ZŁOTA ODZNAKA DLA ODWAŻNYCH. OTRZYMAŁ JĄ KAPITAN „KORALA” ZBIGNIEW SZYMANSKI



FOT. Z. KOSYCARZ

prasa

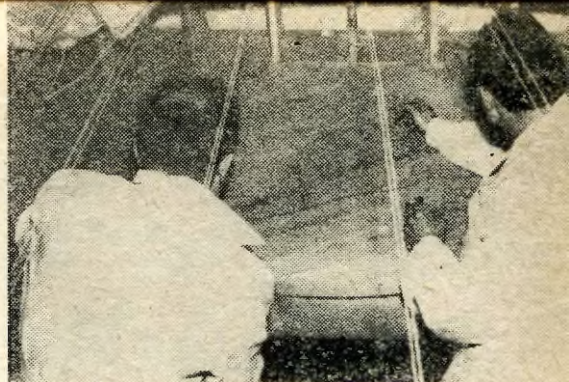
OSTATNI NUMER (3-4, 1963) „Wojskowego Przeglądu Historycznego” wyszedł jako numer specjalny, poświęcony XX rocznicy powstania ludowego Wojska Polskiego. Obszerny tom, liczący 760 stron (cena zł 25), zawiera wiele ciekawych materiałów, zarówno monograficznych jak i przyczynarskich, dotyczących działań wojennych Polskich Sił Zbrojnych na frontach Europy i Afryki. Nas szczególnie interesują dwa artykuły: wiceadmirała Zdzisława Studzińskiego pt. „Powstanie i rozwój ludowej Marynarki Wojennej w latach 1944-1948” oraz gen. dyw. Zygmunta Huszczy i gen. bryg. Zbigniewa Szydłowskiego pt. „Z dziejów Pomorskiego Okręgu Wojskowego w latach 1945-1948”. Powyższe prace w sposób usystematyzowany opowiadają nie tylko o „wojskowych” dziejach Marynarki Wojennej i POW, ale i o akcjach cywilnych — zagospodarowywaniu ziem odzyskanych i współdziałaniu z ludnością cywilną.

W TYGODNIKU „Rada Narodowa” (1964, nr 1) opublikowano wspomnienie przewodniczącego Prezydium WRN w Gdańsku Piotra Stolaraka pt. „Jak nie wydrukowałem Rady Narodowej”, dotyczące lat okupacji. P. Stolarak, pracujący w drukarni techniki centralnej PPR, otrzymał polecenie wyposażenia nowego punktu techniki centralnej i drukowania pisma „Rada Narodowa”, organu Krajowej Rady Narodowej. Niestety aresztowanie Stolaraka przez gestapo uniemożliwiło mu osobiście wydanie pierwszego numeru tego pisma.

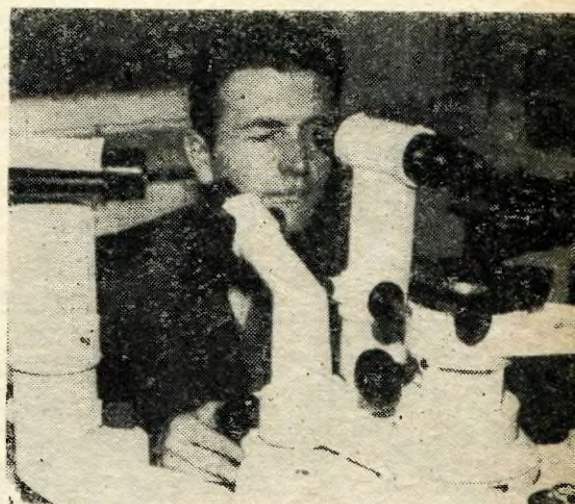
ANONIMOWY autor zamieścił w „Ilustrowanym Kurierze Polskim” (1964, nr 8) artykuł pt. 30 lat pracy publicystyczno-naukowej Leona Roppa. Roppel obchodzi ten jubileusz w bieżącym roku, co daje okazję do przypomnienia czytelnikom jego bogatego dorobku badawczego i popularyzatorskiego w zakresie regionalizmu kaszubskiego. Autor artykułu w „IKP” pomieszczył jednak niektóre pojęcia i pod działalność publicystyczno-naukową podciąga twórczość ściśle literacką. Pomija natomiast bodaj najlepsze prace Roppa, drukowane m. in. w „Roczniku Gdańskim”, jak np. „Nazwy terenowe słowińskiej wsi Kluki na podstawie mapy F. Pallasa z 1926 r.”. Wspominając o „Rejsach” i „Rybaku Morskim”, pomija „Kaszëbë”, w których Roppel opublikował szereg szkiców publicystycznych, np. „Między anegdotami a faktami z życia H. Derdowskiego”, „Kontakty uczonych czechosłowackich z kaszubskimi” itp. Nie trzy a dwie (jedną wspólnie z L. Bądkowskim) książki Sedzickiego przygotował Roppel do druku w ostatnich latach, a oprócz wierszy Majkowskiego wydał również poezję Karnowskiego, „O panu Czorlińskim” Derdowskiego i ostatnio antologię poezji i prozy kaszubskiej o morzu.

PRZEWODNICZĄCYM MIEJSKICH RAD NARODOWYCH, KTÓRZY NADEŚLALI ODPOWIEDZI NA NASZE PYTANIA, ZAMIESZCZONE W NUMERZE STYCZNIOWYM, CZYTELNIKOM I SYMPATYKOM NASZEGO PISMA ZA'NOWOROCZNE ŻYCZENIA, SERDECZNE PODZIĘKOWANIA SKŁADAJĄ „LITER”

Projekt kopuły nad operą leśną w Sopocie



We Wrzeszczu otwarto stację badań PRS



FOT. Z.

niedyskrecje

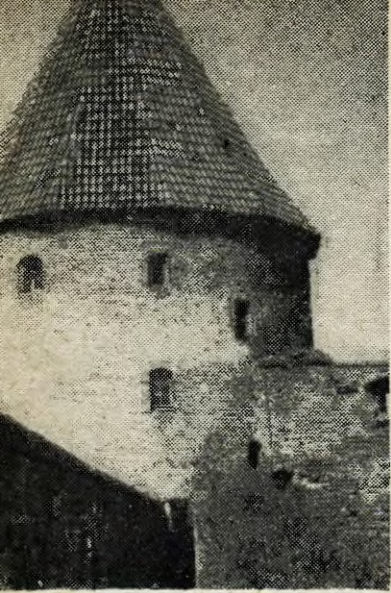
NIEMAL równocześnie z eksponowaną w Koszalinie zbiorową wystawą prac członków oddziału ZPAP, w kołobrzeskim muzeum otworzył własną „rozłamową” wystawę kołobrzeskie środowisko plastyczne. Jak głosi fama, kołobrzescy plastycy (a jest wśród nich kilku twórców o nazwiskach „liczących się” w kraju) przeprowadzili bojkot koszalińskiej wystawy zbiorowej oddziału ZPAP w związku z pominięciem ich środowiska przy organizacji I Międzynarodowego Studium Pleneru Koszalińskiego (Osieki — od 2 do 16 września ubiegłego roku).

kryminalne

PRZED Sądem Wojewódzkim w Koszalinie odbył się proces sprawców bestialskiego mordu, jaki miał miejsce we wsi Bogusławie w pow. kołobrzeskim. Finałem wieloletniej zawiści mającej interesujące skądinąd podłoże społeczne, było tam zamordowanie jednego z najlepszych rolników i znanego działacza wiejskiego Władysława Sadurka. Dokonał tego bracia Jan Zenon i Kazimierz Strzechmiński w momencie, gdy Sadurek usiłował przeszkodzić im w przepędzaniu bydła przez zespołowe pastwisko. Pierwszemu z braci sąd wymierzył karę 15 lat więzienia, a drugiemu — 8 lat.

rys. TADEUSZ CIESIULEWICZ





Fragment zamku w Bytowie
Fot. Cz. Skonka

POMYŁONO AUTORÓW

Z zadowoleniem przeczytałem artykuł Mariana Goli pt. „Synowie Polski” z nr 12/63 Waszego pisma. Pragnę zaznaczyć, że autor rzeczowo przedstawił pogląd, który podzielałem zupełnie jako jeden z tych, którzy okres działalności Związku Polaków w Niemczech przeżywali. Nie umniejszając bynajmniej zasług ks. dr Bolesława Domańskiego pozwałam sobie na życzliwą uwagę, gwoździć prawdę historycznej. Cytowane dwie wypowiedzi na Kongresie Związku Polaków w Niemczech w Berlinie w dniu 6 marca 1938 r. są fragmentami przemówienia sekretarza generalnego dr Jana Kaczmarka, a nie ks. dr Domańskiego. Wypowiedzi jego zachowałem w pamięci jako uczestnik kongresu. Wyjaśniam, że wszystkie przemówienia wygłoszone na tym kongresie, wydrukowano w nrze 4 z kwietnia 1938 r. specjalnego wydania „Polaka w Niemczech”. Przytoczone wypowiedzi dr Kaczmarka wydrukowano w tym numerze na str. 73.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku
JAN KOCIK
Złotów

listy • listy • listy

USŁUGI KULTURALNE DLA TURYSTÓW

Przy ministrze kultury i sztuki oraz przewodniczącym GKKFiT w Warszawie, powołana została Komisja do Spraw Problematyki Kulturalnej w Turystyce z podsekretarzem stanu na czele. Do głównych zadań komisji należy sprawa wzmocnienia usług kulturalnych na najważniejszych szlakach turystycznych, a szczególnie na uczęszczanych przez turystów zagranicznych.

Problem ten dotyczy m.in. województwa gdańskiego, stanowiącego jedno z największych „zagłębi turystycznych” w Polsce. Przez nasze województwo przebiegają bowiem dwa ważne szlaki turystyczne o znaczeniu ogólnopolskim i międzynarodowym: „Wał Pomorski” (Swinoujście-Koszalin-Gdańsk) i „Centralny” (Gdańsk-Ostróda - Warszawa - Kraków - Zakopane).

Szczególnie ważne zadania w dziedzinie usług kulturalnych dla turystów stoją obecnie przed nami, w związku z zawarciem w 1963 roku jednostronnej konwencji turystycznej między Polską i Szwecją oraz uruchomieniem promu: Ystad-Swinoujście. Konwencja ta obejmuje również tereny naszego województwa, a granica jej przebiega m.in. przez następujące miejscowości: Bytów-Korne-Kosierzyzna - Bendomlin - Przywidz - Gdańsk - Sobieszewo (koniec strefy). W wyniku zawarcia tego porozumienia, poczynając już od bieżącego sezonu letniego, województwo gdańskie gościć będzie poważną liczbę turystów skandynawskich (Szwedów, Finów, Norwęgów i Duńczyków), którzy bez wiz a tylko na podstawie specjalnych przepustek wydawanych przez upoważnione placówki WOP, będą mogli przebywać na terenach objętych konwencją.

W związku z tym istnieje pilna potrzeba (obok dalszego zagospodarowania turystycznego) rozwoju i usprawnienia usług kulturalnych dla polskich turystyki. Dotyczy to m.in. zwiększenia estetyki najważniejszych zabytków kultury materialnej, muzeów, sal imprezowych itp. Przyda-

łyby się np. nowe tablice na najciekawszych zabytkach znajdujących się na ważnych szlakach, może nawet z napisami w 2-3 językach (np. polskim, angielskim i niemieckim). Należałoby też podnieść estetykę istniejących i utworzyć nowe punkty sprzedaży pamiątek regionalnych (no i żeby było wreszcie... co sprzedawać w tych punktach).

Ważny problem stanowi również brak wydawnictw turystycznych w językach obcych (szwedzkim, angielskim, niemieckim). Ponieważ przygotowanie tych wydawnictw, to duża i kosztowna historia, należałoby chociaż na bieżący sezon przygotować wkładki o naszym województwie w językach obcych i załączyć je do polskich wydawnictw-turystycznych. Dotyczy to m.in. albumu krajoznawczego I. Trojanowskiej „Pojezierze Kaszubskie”, drukowanego na zlecenie WKFiT w Gdańsku przez Wydawnictwo Morskie w Gdyni (szkoda tylko, że z powodu braku papieru publikacja ta ukaże się w „mikroskopowym” nakładzie 3.000 egz.).

Jest jeszcze wiele innych problemów, dotyczących usług kulturalnych dla turystów (biblioteki, czytelnie, poziom imprez kulturalnych itp.), których nie da się omówić w ramach jednego artykułu. Sądzimy, że sprawami tymi zajmą się zainteresowane wydziały Prezydium WRN w Gdańsku i terenowe rady narodowe oraz instytucje zajmujące się bezpośrednio usługami kulturalnymi dla turystów.

Rozwój turystyki zagranicznej może przyczynić się do zwiększenia wpływu dewizowych oraz do dalszego zagospodarowania turystycznego i rozwoju usług kulturalnych w naszym województwie. Ale nie tylko aspekty ekonomiczne turystyki są ważne. Chodzi także o to, byśmy zgodnie ze staropolską tradycją, gościnnie przyjęli turystów zagranicznych i pokazali im najciekawsze wartości krajoznawcze oraz najważniejsze skarby naszej kultury narodowej.

CZESŁAW SKONKA
Gdańsk



H.G. — Markocin

Cytat z Pańskiego wiersza:

„Zrąb katakumby
Urwisty brzeg
I sine wody zatoki.
Dźwięki gitary,
Twój cichy śpiew
I cicha Twoja postać
Jasno widnieją w przeszłości
I pragnę przy nich zostać”.

W dzisiejszych czasach taka stałość uczuć wzbudza szacunek. Jedynie trudności w odczytaniu Pańskich intencji wiążemy z określeniem — „zrąb katakumby”. Co to znaczy?

A.L. — Gdańsk-Wrzeszcz

W chwilach szczególnych otwieramy tom II Dzieł K.I. Gałczyńskiego na stronie 428 i czytamy: „Ona mi pierwsza pokazała księżyc...” Nigdy natomiast nie sięgnęlibyśmy do Pańskiego wiersza „Mateczko”. Dlaczego? Niech Pan sam dokona konfrontacji.

Glicer PMH. — Szczecin

Pańskie opowiadanie pełne jest poetyckich ozdobińców i opisów pejzażu w miarę egzotycznego. Od kogo jak od kogo, ale od „wilka morskowego” mamy prawo żądać trochę autentycznych przeżyć związanych z życiem na statku. Kto to ma zrobić — pisarz w Lublinie czy w Krakowie? Popularność książek kpt. K.O. Borchardta jest chyba najlepszą odpowiedzią. Dziękujemy za pozdrowienia.

L.K. — Gdynia

Z nadesłanych wierszy wykorzystałem „Falowanie”. Pozostałe są copiero szkicami poetyckimi. Wpływ poezji Różewicza jest bardzo widoczny, ale zgubił Pan gdzieś po drodze „napiecie” — słowa w wierszach rozlażą się po papierze jak mrówki. To wcale nie znaczy, że z tego materiału nie będzie dobrych wierszy. Trzeba tylko nad nimi posiedzieć.

Z.B. — Bydgoszcz

Prosimy o cierpliwość. „Litera” są przecież miesięcznikiem i nie możemy całego numeru przeznaczyć na poezję. J.St. — Olsztyn, W.Z. — Kraków, J.B. — Skomielna Czarna, J.Z. — Zamość, J.S. — Szczecin
Nie skorzystamy.



PÓŁGLÓWKI RYS. Z. JUJKA

Redaguje zespół:

Redaktor Naczelny
EDGAR MILEWSKI

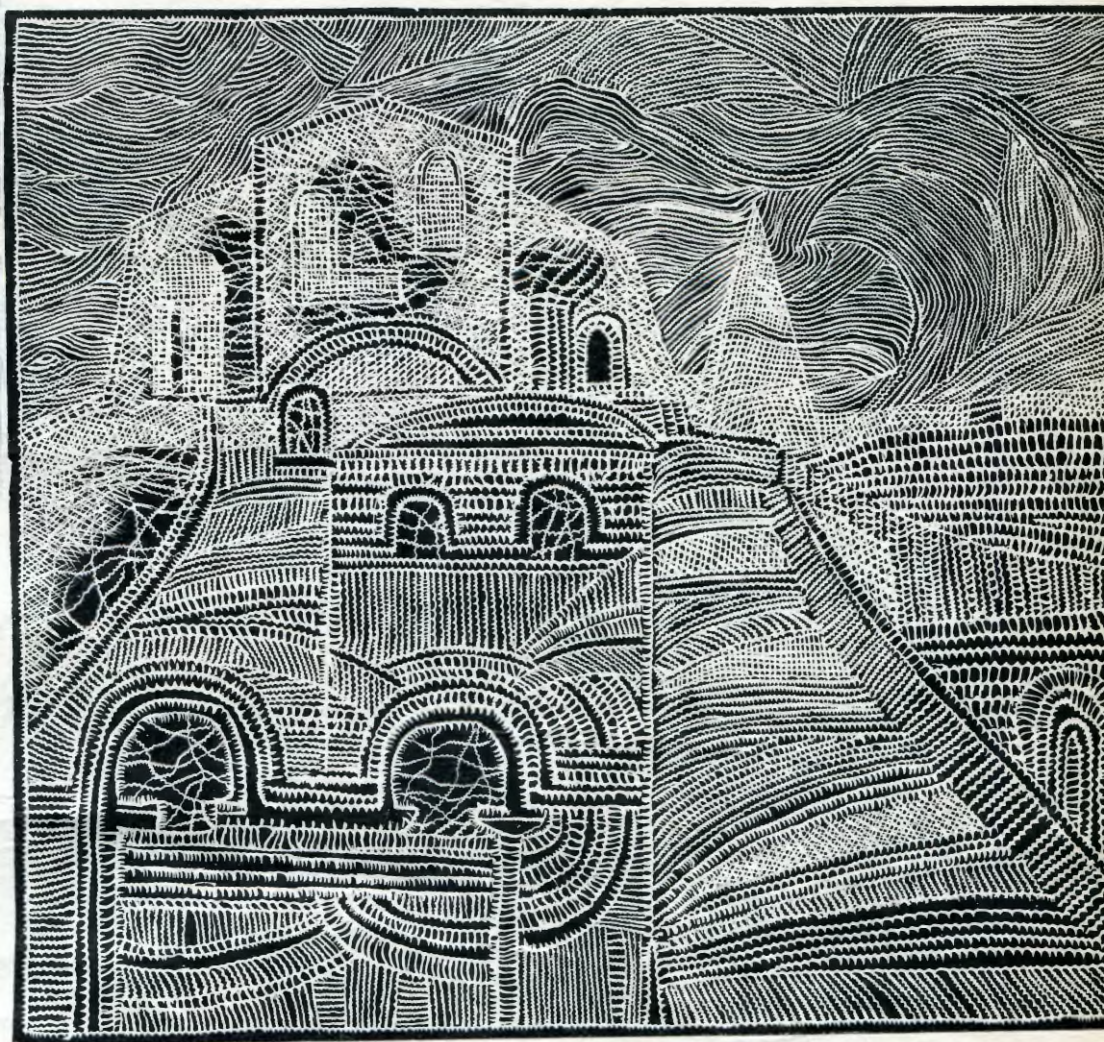
Z-ca Redaktora Naczelnego
TADEUSZ BOLDUAN

Sekretarz Redakcji
STANISŁAW DZIADON

Redaktor Graficzny
RYSZARD STRYJEC

Członkowie kolegium:
STANISŁAWA FLESZAROWA-MUSKAT
BOLESŁAW FAC JAN POPRAWSKI

Redakcja i Administracja: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, telefon: 31-18-25. Oddział w Koszalinie: Koszalin, ul. Gwardii Ludowej 16, tel. 54-35 godz. przyjęć: 11-13. Warunki prenumerat: kwartalnie zł 15, półrocznie zł 30, rocznie zł 60. Zamówienia indywidualne przyjmują placówki pocztowe oraz listownie do 15 każdego miesiąca na następny okres prenumerat. Można napisać „Ruch” w Gdańsku, ul. Tkacka 9/10. NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA. Druk: GZGraf. zam. 2610 — A-3



JAN GÓRA studia plastyczne odbywał w gdańskiej PWSSP. Związany był w czasie studiów z pracownią prof. J. Studnickiego. Ukończył specjalizację z zakresu grafiki w pracowni doc. Z. Karolaka. Interesowało go również malarstwo ściennie. W tym zakresie specjalizował się u prof. J. Żuławskiego. Dyplom ukończenia studiów otrzymał w 1963 roku. Wraz z grupą gdańskich grafików wystawiał swe prace w Grazu i Wiedniu. Jest członkiem i jednym z założycieli Galerii EL. Bierze udział w niemal wszystkich wystawach galerii, a w ubiegłym roku uczestniczył w I Paradzie Sztuki Współczesnej Elbląg — 63. W ubiegłym roku grafika Jana Góry eksponowana była również w kopenhaskiej galerii »Gammel Strand«.

Obecnie artysta jest asystentem w Katedrze Rysunku, Malarstwa i Rzeźby Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej.

